ANATOMIA ZBRODNI

str. 8 i 9

FILM ZAMKNIĘTY. W SEJFIE

HOTEL „SAVOY"

str. 6

BITWA O WAŁ POMORSKI

str. 7

ERICH von DANIKEN

„BOGOWIE z KOSMOSU"

Str. 4

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 11 (991) 13 MARCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Obie łódzkie organizacje partyjne PZPR – miejska i wojewódzka podsumowały swą dwuletnią działalność. Pisała o tym wspaniałym dorobku prasa codzienna przytaczając szczegółowe dane i zestawienia cyfrowe. My chcielibyśmy ponadto zapoznać Czytelników z niepowtarzalną atmosferą i klimatem, jakie towarzyszyły przygotowaniom do tych konferencji. Pisze o tym zarówno L. Włodkowski, w wywiadzie z II sekretarzem Ludwikiem Maźnickim, jak i J. Wawrzak, dzielący się bezpośrednimi wrażeniami z sali obrad. Obaj zresztą zwracają uwagę na serdeczną troskę, na specyfikę tego klimatu bezpośredniego zaangażowania wszystkich członków partii, i podkreślają zgodnie tą samą cechę – postulatywności, ale postulatywności skierowanej nie w górę, a w dół. Szukanie wokół siebie, w sobie, we własnym zakładzie, instytucji czy przedsiębiorstwie tych możliwości i rezerw, aby można produkować więcej i dokładniej, a zatem – aby można szybciej, lepiej i wygodniej żyć.

Stała analiza rynku zaopatrzenia, jego nieustanny sondaż, pomagają poznać rządzące nim prawa i odpowiednio je korelować. Wierzymy, iż artykuł Bogdy Madej „W kolejce po mebie" w jakiejś mierze przyczyni się do jego bliższej analizy i wyciągnięcia właściwych wniosków, co niewątpliwie wyjdzie „na zdrowie" producentom i handlowcom, a przede wszystkim nam... odbiorcom.

Z dziedziny literatury proponujemy esej Jerzego Poradeckiego: „Poezja i proza", w którym autor snując refleksje nad współczesną literaturą rozważa dylemat, jakie są powiązania i uwarunkowania tych dwóch gatunków. „Póki zaś co", i zanim profesjonaliści dojdą do wspólnych konkluzji i uzgodnień, polecamy lekturę „Trzech sonetów z różą" Jerzego Jarmołowskiego i „Oczepin" Tadeusza Papiera, aby wyrobić sobie na ten temat własne zdanie.

Od kilku dni na forum życia politycznego i prasy wróciła sprawa morderstwa prezydenta USA J. F. Kennedy'ego. Mimo iż od tego czasu minęło 11 lat, sprawa ta nigdy nie została wyjaśniona do końca i nie przestała intrygować narodu amerykańskiego. Kto był faktycznym mordercą i jakie siły reprezentował – na te pytania definitywnie nikt nie odpowiedział. Próby takie czyniła tzw. Komisja Warrena, raport której nikogo nie usatysfakcjonował. Pełno w nim braków i niedomówień, kto wie czy nie kamuflażu. Pisze o tym Andrzej Blajer w swym nowym cyklu zatytułowanym „Anatomia zbrodni".

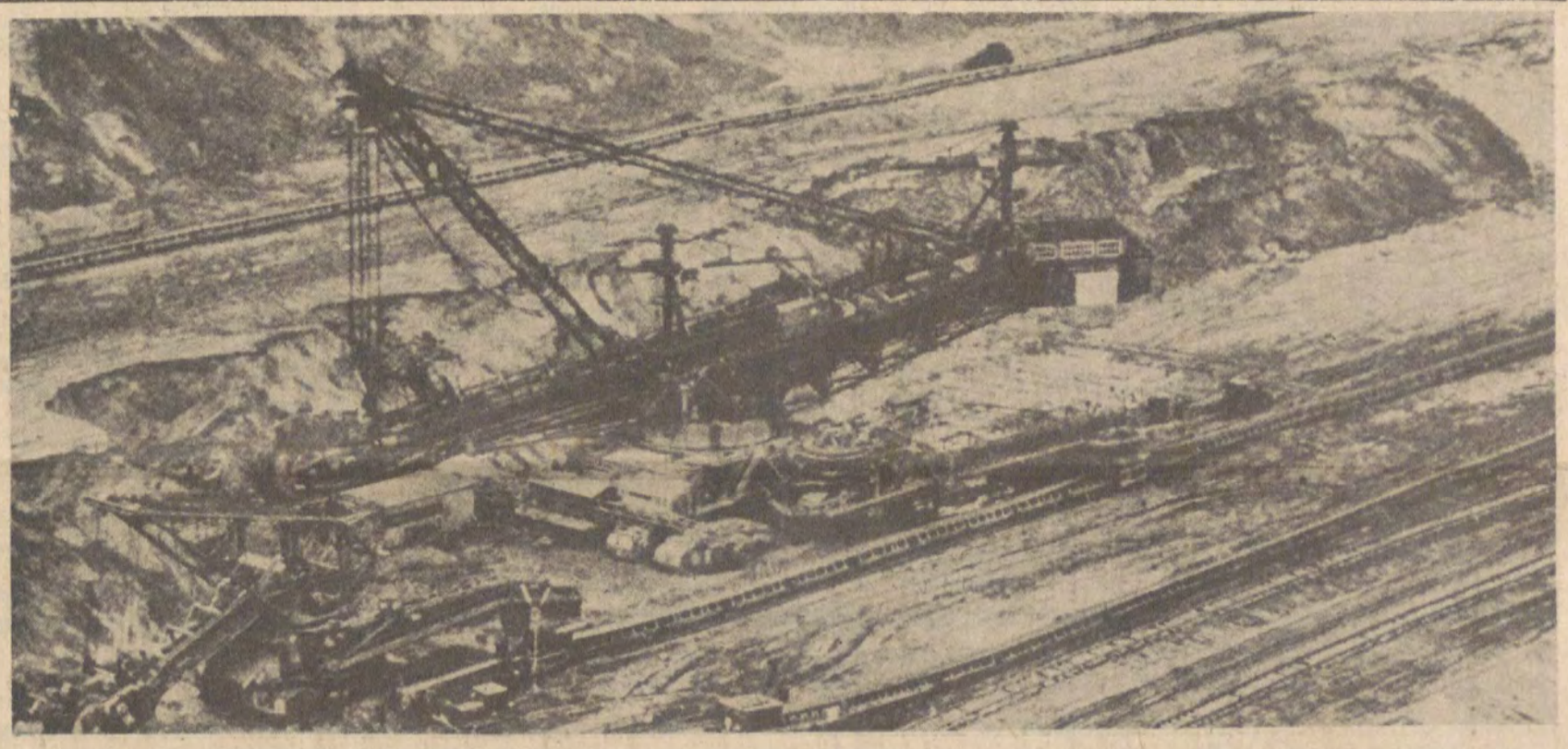

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPOŁECZNY SENS ODPOWIEDZIALNOŚCI

Onegdaj obradowała Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza, na której dokonano nie tylko podsumowania rezultatów pracy gospodarczej i społecznej w minionych latach na Ziemi Łódzkiej, wybrano nowe władze partyjne, ale również uchwalono program dalszego działania partii, dalszego działania społeczeństwa województwa łódzkiego.

Obrady delegatów wojewódzkiej organizacji partyjnej poprzedziła szeroka dyskusja wszystkich członków partii, jaka odbywała się w toku kampanii sprawozdawczo-wyborczej wszystkich ogniw wojewódzkiej organizacji. Wyniki tej dyskusji – wzbogacone o wyniki dyskusji w czasie obrad Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej – posłużyły do skonstruowania programu działania partyjnego, społecznego i gospodarczego na Ziemi Łódzkiej.

Dalszy ciąg na str 3

TADEUSZ SZEWERA

PIEŚŃ IKARÓW

„Marsz lotników", którego fragment odtwarzam sobie w tej chwili z niedawno wydanej płyty, i którego melodia rozbrzmiewa w naszych czasach z okazji różnych świąt Polskiego Lotnictwa, ale już bez tego oto tekstu:

Lotnik, skrzydlaty władca
Świata bez granic,
Ze śmierci drwi, w twarz się
życiu głośno śmieje,
Drogę do nieba skraca,
Przestrzeń ma za nic,
Smutki mu z czoła pęd zwieje.
Jak równo silnik gra,
Jak śmiało śmigło tnie,
Już ginie pośród chmur
Najśmielszych orłów
niebotyczny ślad.
Nie straszny mrok i mgła,
Nie straszny wiatr, co dmie,
Jesteśmy od Ikara mędrsi
o tysiące lat. (...)

Jadąc do Kielc dysponowałem wyjątkowo „bogatym" materiałem faktograficznym, znałem bowiem nazwisko kompozytora „Marsza". Był nim pilot **Stanisław Latwis**, który w 1935 roku zginął śmiercią lotnika. Wiedziałem także, że słowa do pieśni polskich Ikarów napisała Aleksandra Zasuszanka. Informacje te zamieściłem zresztą w antologii **„Niech wiatr ją poniesie"** (WL, wyd. I, 1970). Co do tych danych byłem pewny. Wątpliwości moje budziła wiadomość, pochodząca od mego kolegi radiowego pracującego wówczas w Kielcach, red. Jerzego Butwiłły, wynikało z niej bowiem, że autorka **„Marsza"** mieszka podobno w Kielcach. Nazywa się po mężu Aleksandra Dobrowolska. Bliższe szczegóły zdobędę prawdopodobnie w Muzeum Świętokrzyskim, gdzie pracowała jeszcze nie tak dawno jako etnograf i kustosz. Jerzy pisał, że kiedyś — udzielając mu wywiadu na temat badań etnograficznych, prowadzonych przez Muzeum na Ziemi Kieleckiej — wspomniała mimochodem o swoich przedwojennych związkach z lotnictwem i o „nieudolnych próbach poetyckich". Powiedziała mu również, że znała osobiście Stanisława Latwisa. Była to dla mnie wiadomość niezwykle ważna.

Miałem przy sobie odpis korespondencji inż. Stefana Mirowskiego z Warszawy, który pisząc do wydawnictwa na temat mej antologii powiadamiał, iż w tekście pierwotnym istniała zwrotka świadcząca, że **„Marsz lotników"** został napisany na pamiątkę ufundowania przez Polaków z Ameryki pierwszej polskiej eskadry lotniczej po I wojnie światowej. Eskadrze nadano imię Tadeusza Kościuszki. Wspomniana zwrotka zaczynała się słowami:

„Srebrne Kościuszki kosy lśnią na maszynie, Kształt rogatywki na gwiaździstym tle sztandaru...".

Dalszy ciąg na str. 7

XVIII KONFERENCJA ŁÓDZKA PZPR

PO KADENCJI, PRZED NOWYMI ZADANIAMI

Poniedziałek, 10 marca. Już o ósmej trzydzieści większość delegatów znajduje się w gmachu Komitetu Łódzkiego. Wymiana pozdrowień, rozmowy. Zasłużeni działacze z odznaczeniami państwowymi na piersiach, wśród nich Budowniczowie Polski Ludowej. Nad prezydium hasło — zawołanie, które jest powszechną świadomością: Z PARTIĄ, Z JEJ PROGRAMEM I DZIAŁALNOŚCIĄ ZWIĄZANE SĄ NADZIEJE I ASPIRACJE CAŁEGO NARODU. Są wszyscy delegaci i zaproszeni goście, wśród nich tow. Jan Szydlak, wypróbowany przyjaciel Łodzi. Międzynarodówka. Punktualnie o godzinie dziewiątej tow. Bolesław Koperski otwiera obrady.

Popełnię tylko błąd formalny, jeśli powiem, że XVIII Konferencja rozpoczęła się kilka miesięcy wcześniej. W grupach partyjnych, organizacjach wydziałowych i podstawowych, na konferencjach zakładowych i środowiskowych. Jest to już dobra praktyka naszej partii, że postawienie ocen i wypracowywanie programów działania rozpoczyna się od jej najniższych ogniw. Podobnie jak ostateczne wnioski konsultuje się, w tym wypadku także, z największymi organizacjami partyjnymi w zakładach pracy, z aktywem przedstawicielskim poszczególnych środowisk. Dobra to praktyka naszej partii, bo decyzje rodzące się przy tak szerokim współuczestnictwie są optymalne. wyrastają z realnych możliwości przymierzanych do potrzeb. Szerokie współuczestnictwo decyzji to nie tylko społeczny przywilej, ale w takim samym stopniu zobowiązanie do ich realizacji własną pracą i przykładem dla innych.

Taki klimat społeczny towarzyszył obradom XVIII Łódzkiej. Ta świadomość stwarzała odpowiedni nastrój wśród prawie 300 delegatów na sali obrad, przebijała się w wypowiedziach dyskutantów reprezentujących wszystkie bez mała zawody i środowiska. Dyskusja. Zabierało głos 27 mówców, nie zdążyło, składając swoje wypowiedzi do protokołu, prawie drugie tyle delegatów. Każda wypowiedź, chociaż z konieczności kilkunastominutowa, to sygnalizacja jakiegoś ważnego problemu, postulat, prezentacja doświadczeń własnego środowiska, często deklaracja dodatkowej produkcji i czynów społecznych. Nie brakło w dyskusji refleksji szerszych, wychodzących poza mechanizmy faktów i zdarzeń dwuletniej kadencji Komitetu Łódzkiego. I była troska nie tylko o dzień dzisiejszy, ale i jutro, o to by zmiany i podwaliny przyszłości miały trwały fundament.

Chciałoby się wiele z tych wypowiedzi choćby zacytować, ale Czytelnik musi wierzyć komentatorowi na słowo. Mam jednak nadzieję, że w przyszłości staną się one publicystycznym tropem dla naszego tygodnika, celem reporterskiej penetracji, czy dyskusji przy redakcyjnym stole. Życie naszego miasta jest tak bogate, że nie trzeba szukać tematów, lecz wybierać. A była to doskonała okazja do ułatwienia tego wyboru, przy pomocy ludzi zaangażowanych i kompetentnych, którym zaufała ponad 80-tysięczna łódzka organizacja partyjna.

Niech mi więc będzie wolno spróbować uogólnienia, zapewne niedoskonałego. Zapisane dziesiątki stron notatek, to nikła pomoc. To co najważniejsze jest poza słowami, w faktach i odczuciach. Fakty ostatniej kadencji, ostatniego czteroleciа, każą mówić o SUKCESIE, którego właściwie nie ma do czego porównać. Liczby, które zwykle nudzą, w takich chwilach grzeją serce. Tych 30 nowych i najnowocześniejszych zakładów 100 gruntownie modernizowanych, tych 150 tysięcy izb, które wybuduje się w tej pięciolatce: bezprecedensowa skala wzrostu produkcji osiągnięta w 92 proc. poprzez wzrost wydajności pracy, przekroczenie w górę wszystkich prawie bez wyjątku zadań wytyczonych w „Programie rozwoju i modernizacji Łodzi". To fakty, obraz wysiłku społeczeństwa naszego miasta, umiejętności kierowania i mobilizowania setek tysięcy ludzi pracy przez instancje i działaczy partii. To wreszcie dowód troski o rangę drugiego miasta w Polsce, jaką przejawiały naczelne władze partyjne i państwowe. A w tym osobiste zainteresowanie i troska towarzysza Edwarda Gierka.

Fakty, one określają rangę sukcesu. To jednak nie wszystko. Bo nie przymierzamy ich do przeszłości, ale do potrzeb dnia dzisiejszego i przyszłości. Nie wolno ich niczym pomniejszać, ale także trzeba bronić się przed nimi, bo łatwo wywołują euforyczne zadowolenie, osłabiają krytyczną refleksję. Samozadowolenie. Przestrzegał przed nim tow. Jan Szydlak, kreśląc drogę sukcesów przez ostatnie cztery lata. Dokonaliśmy wielkiego dzieła, sprawdziliśmy swoje możliwości, ale patrząc w szerszym horyzoncie czasowym, dokonaliśmy pierwszego kroku, dopiero pomyślnie wystartowaliśmy. To ważna charakterystyka społecznej świadomości, cecha każdego komunisty, który nie poddaje się magii pozorów, lecz realnie bilansuje sukcesy i porażki. W ostatnich latach w kraju i w Łodzi myśmy porażek nie ponieśli, ale mamy świadomość — i nie są to żadne irracjonalne odczucia — że nie robiliśmy wszystkiego na co nas jeszcze stać. Nie wyeliminowaliśmy z naszego życia, z pracy w fabryce czy instytucji tego wszystkiego, co hamuje nasz rozwój. Mówili o tym na konferencji szeregowi członkowie partii oraz kierownicy życia politycznego i gospodarczego.,

Oczywiście zjawiska negatywne trzeba widzieć w odpowiednich proporcjach. Muszą one niepokoić, ale nie przyciemniać obrazu rzeczywistości. Mamy pewność, że poradzimy sobie z nimi. Zarówno z niedoskonałościami, które jeszcze tkwią w samej strukturze organizacji pracy i życia (co potwierdziły ostatnie przeglądy zapasów i analizy zatrudnienia); jak i z tymi (znacznie trudniejszymi do eliminacji), które są plamami na honorze socjalistycznego społeczeństwa; złodziejstwem, prywatą, pijaństwem, nadużywaniem władzy, brakiem poszanowania mienia, lekceważeniem obowiązków pracowniczych i rodzicielskich, obojętnością i egoizmem.

XVIII Konferencja Łódzka obradowała w wyjątkowym okresie. W ostatnim roku „pięciolatki przyspieszenia" w roku VII Zjazdu partii. Z meldunków składanych na konferencji niezbicie wynika, że nasz przemysł, gospodarka weszły w ten rok z dużym rozmachem. o czym świadczy przekroczenie zadań produkcyjnych za dwa miesiące bieżącego roku. Problem jest jednak, jak mówił tow. Bolesław Koperski, nie w wykonaniu zadań, ale w wysokości ich przekroczenia. Załogi łódzkich fabryk dały na to pytanie swoją odbywatelską odpowiedź. Towarzysze Gierek i Jaroszewicz zwrócili się z LISTEM do 37 zakładów w naszym mieście. Do odpowiedzi poczuli się jednak nie tylko adresaci. Odpowiedzią jest MILIARD — dodatkowa produkcja towarów poszukiwanych na rynku wewnętrznym i potrzebnych na eksport. Taki meldunek złożyli delegaci na XVIII Konferencję towarzyszowi Edwardowi Gierkowi. Ta robotnicza odpowiedź mówi wiele, właściwie wszystko.

Pozostaje tylko złożyć niski pokłon łódzkiej klasie robotniczej.

JERZY WAWRZAK

KONKURS „ŁODZIANIE 1974" ROZSTRZYGNIĘTY

Rozstrzygnięty został tradycyjny konkurs — plebiscyt pn. „Łodzianie 1974". Po obliczeniu głosów okazało się, że tegorocznymi laureatami zostali:

HENRYK CZYŻ
ZDZISŁAW HAŚ
JADWIGA HRYNIEWIECKA
MICHAŁ KUNA

W imieniu naszych Czytelników oraz zespołu redakcyjnego „Odgłosów" wszystkim laureatom gratulujemy serdecznie zwycięstwa.

Spotkamy się z nim 23 marca br. (niedziela) o godzinie 17-tej, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, przy ul. Narutowicza 8/10. Otrzymają od nas pamiątkowe nagrody. Podczas tego spotkania wręczymy także upominki, rozlosowane wśród czytelników, którzy nadesłali kupony plebiscytowe.

Nagrodę pierwszą — radioodbiornik tranzystorowy — otrzymuje ADAM FRAJMAN zam. w Koluszkach, ul. Armii Czerwonej 39;

Nagrodę drugą — aparat fotograficzny — otrzymuje EUGENIUSZ WAJS, zam. w Łodzi, ul. Tkacka 20b;

Nagrodę trzecią — zegarek na rękę — otrzymuje MIROSŁAW BOROWIAK, zam, w Łodzi, ul. Kilińskiego 127.

Oprócz tego rozlosowaliśmy pięć wyróżnień książkowych, które przypadły:

HENRYKOWI KRÓLOWI zam. w Łodzi, ul. Kilińskiego 25,

JANINIE KAŁUCKIEJ zam. w Łodzi, ul. Narutowicza 81,

KRZYSZTOFOWI GOETZENOWI, zam. w Łodzi, al. Kościuszki 40.

HENRYKOWI SIARKIEWICZOWI zam. w Gończycach, pow. Garwolin, woj. warszawskie,

SABINIE PIEJAKOWEJ, zam. w Krosnowie, p-ta Słupia.

Czytelnikom zamieszkałym poza Łodzią prześlemy książki pocztą.

NIE TYLKO HISTORIA

PRZECIEŻ TO JUŻ PRZESZŁOŚĆ

Nie o wszystkich wydarzeniach z niedawnej, bo zaledwie trzydziestoletniej przeszłości, równie łatwo przychodzi nam mówić jako o historii. Jedne sprawy wciąż zdają się nam być współczesnością, inne skłonni bylibyśmy uznać za przeszłość, za historię, a nie decyduje o tym wyłącznie wzgląd chronologiczny. Poza dystansem czasu w naszym historycznym myśleniu posługujemy się także inną miarą, odwołujemy się do dystansu psychicznego i moralnego, który warunkuje, że wiele nie zakończonych do dziś spraw odległych pod względem czasowym uważamy wciąż za teraźniejszość, inne zaś, równie niedawne, ale niejako zamknięte, rozwiązane raz na zawsze, przyjmujemy za skończoną historię, oddając na przechowanie przeszłości. Postępy procesów politycznego odprężenia w Europie oraz normalizacji stosunków wpłynęły, że nie tylko my sami skłonni już jesteśmy uważać za historię sprawę, która niegdyś, przed trzydziestoma laty, budziła ogromne kontrowersje, mianowicie kompleks dziejowych zdarzeń, który uwarunkował powrót Polski nad Odrę i Nysę Łużycką, określając na trwałe jej miejsce w Europie. To, że się tak stało, uważamy za coś najzupełniej naturalnego, oczywistego, choć — nie bardzo to sobie przypominamy — wtedy sprawa bynajmniej nie była oczywista i trzeba było stoczyć długotrwałą, zaciętą walkę, nim się nią stała. A jak wtedy było?

„Historia narodu — pisze Wiesław Dobrzycki, autor nadzwyczaj interesującej książki „Granica zachodnia w polityce polskiej 1944—1947" (Warszawa, PWN, 1974) **— to nie tylko wydarzenia rozgrywające się na polach bitew i przy stołach konferencyjnych, ale także myśli, programy i koncepcje o różnych genealogiach i odniesieniach historycznych, wpływające bezpośrednio na rzeczywistość społeczno-polityczną".**

Kiedy w grudniu 1941 r. premier Związku Radzieckiego oświadczył, że granice zachodnie powinny zostać oparte o Odrę, mało kto uważał tę propozycję za realną. Postulat linii Odry torował sobie drogę podczas konferencji teherańskiej, ale wówczas nie było jeszcze mowy o Nysie Łużyckiej. Nazwa tej rzeki jako granicy państwa polskiego pojawiła się po raz pierwszy w oświadczeniu przewodniczącego PKWN z 28 lipca 1944 r., następnie zaś w deklaracjach Rządu Jedności Narodowej jako stanowczy postulat Polski. Zdecydowane poparcie Związku Radzieckiego wpłynęło decydująco na stanowisko wielkich mocarstw, jak tego dowodzi jednomyślna deklaracja z 31 lipca 1945 r. Sprawa została ostatecznie przesądzona, ale w niczym nie przeszkadzało to kołom zimnowojennym zmierzać do wygrywania karty Odry i Nysły Łużyckiej dla swych politycznych celów. Od słynnego przemówienia J. Byrnesa w Stuttgarcie z 6 września 1946 r., które z pewnością można uważać za inaugurację okresu zimnej wojny. Ze strony angielskiej i amerykańskiej coraz częściej podnosiły się głosy kwestionujące przyznanie Polsce granicy na Odrze i Nysie Łyżyckiej. Brytyjski minister Bevin dzielił się wątpliwościami, czy aby Polacy w ogóle potrafią zagospodarować obszary, uzyskane przez nich na zachodzie; w początku 1947 r. prasa anglosaska otwarcie rozpisywała się o potrzebie ponownego rozpatrzenia sprawy polskich granic, amerykańscy publicyści dawali do zrozumienia swym czytelnikom, że powrót Niemiec na utracone przez nie tereny jest więcej niż realny. Od tych i innych licznych wówczas głosów jednoznacznie odcinała się Francja. Na konferencji moskiewskiej w pierwszej połowie kwietnia 1947 r. delegacje anglo-amerykańskie starały się wywrzeć presję, aby wymusić rewizję wcześniejszych ustaleń w sprawie granicy polsko-niemieckiej.

Czytelnik, którego te tak ważne, dziś jednak przebrzmiałe sprawy bliżej zainteresują, niechaj zajrzy do książki W. Dobrzyckiego. Nie zamierzam jej tutaj streszczać. To, co mnie najbardziej zainteresowało w rozważaniach autora, to przeprowadzone przezeń studium postaw i opinii różnych polskich środowisk w kraju i na emigracji wobec problemu polskiej granicy zachodniej. Nie ulega wątpliwości, że **„akceptacja nowych granic przez cały naród była jednym z podstawowych elementów, wpływających na kształtowanie się rzeczywistości społeczno-politycznej w Polsce".** Nic więc dziwnego, że wokół tej wielkiej sprawy ogniskowała się walka polityczna. Jednym z jej przejawów był całkowicie już dziś zapomniany, a jakże charakterystyczny dla tamtych czasów spór o źródła powrotu Polski na zachód.

Przeciwko stanowisku PPR i partii demokratycznych prasa PSL-owska niejednokrotnie sugerowała, że głównymi sprawcami uzyskania przez państwo polskie nowej korzystnej granicy na zachodzie były mocarstwa zachodnie i... sam wicepremier S. Mikołajczyk. Ale inni posuwali się jeszcze dalej: przedstawiciele środowisk, związanych przed wojną ze Stronnictwem Narodowym oraz niektórych kręgów katolickich dowodzili na łamach prasy, że granica na Odrze i Nysie zrodziła się z myśli i programu R. Dmowskiego, a polska lewica niczego właściwie nie uczyniła! W ferworze dyskusji nie brakło jednak i głosów rozsądku, wychodzących ze środowisk nie koniecznie związanych z lewicą, upatrujących w powrocie Polski na ziemie zachodnie historyczną szansę reorientacji polskiej polityki, pomyślnego rozwoju kraju. Zaciekli wrogowie nowego ustroju Polski skupieni na emigracji, mimo że ich znaczenie malało z dnia na dzień, głośno zwalczali wszystkie głosy politycznego realizmu, prawili o granicy wschodniej z czasów przedwojennych, nie popierali sprawy granicy zachodniej, ale i otwarcie nie wypowiadali się wprost przeciw niej, w obawie przed utratą i tak niewielkiego kredytu zaufania, zwłaszcza, że coraz liczniejsze koła Polonii zajmowały w tej sprawie stanowisko jednoznaczne z władzami Polski Ludowej. Pod tym względem znamienną ewolucję przeszła postawa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Jeszcze w październiku 1945 r. rezygnował on z granic Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej zaś **„rewindykacje terytorialne na zachodzie określał w duchu minimalistycznego programu rządu londyńskiego".** Stanowisko to jęło się kruszyć jesienią następnego roku, zaś w listopadzie 1947 r. Kongres Polonii począł domagać się uznania granicy na Odrze i Nysie, stanowiącej **„wyraz sprawiedliwości dziejowej i zabezpieczenie przed nową agresją ze strony Niemiec".**

Sprawy to przebrzmiałe, zakończone, postawy mogące dziś budzić tylko uśmiech politowania. Czas zdewaluował je tak samo, jak zwaloryzował stanowisko zajmowane wówczas przez siły lewicy. Tamte waśnie i spory mogą dziś pobudzać do refleksji o tym, do czego w polityce prowadzi zaślepienie i niedostrzeganie realiów. Ale jeżeli przypominam je za W. Dobrzyckim, to również i z innego powodu. Jestem zdania, że nie powinniśmy zapominać o tym, że kształtowanie się ludowego państwa polskiego, również jego podstawy terytorialnej, dokonywało się w uporczywej walce, w której zaangażowane były po obu stronach znaczne siły. Jeżeli zwyciężyły racje, w imię których walczył obóz demokratyczny, to było to zwycięstwo, którego nikt nikomu nie podał na tacy, ale zwycięstwo odniesione w walce. A takie winniśmy cenić najwięcej.

LEKTOR

P. S. Książkę W. Dobrzyckiego „Granica zachodnia w polityce polskiej 1944—1947" opublikowała Redakcja Nauk Politycznych PWN, a wydrukowała ją Łódzka Drukarnia Dziełowa. Szkoda, że nie bez usterek, chociaż na ogół ładnie.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Dalszy ciąg ze str. 1

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPOŁECZNY SENS ODPOWIEDZIALNOŚCI

— Jaka była najbardziej charakterystyczna cecha dyskusji, która poprzedziła Wojewódzką Konferencję? — pytam II sekretarza KW PZPR — LUDWIKA MAŹNICKIEGO.

— Za taką cechę uznałbym poszukiwania. Dyskusja była niewątpliwie postulatywna, ale nie były to tylko żądania, kierowane w górę, do władz wojewódzkich czy centralnych, a także postulaty kierowane do własnych środowisk, zespołów, załóg przedsiębiorstw. Uważniej i wnikliwiej szukano wokół siebie, co można byłoby zrobić lepiej, więcej, dokładniej.

— Większe zaangażowanie we własne sprawy, poszukiwanie sposobów ich rozwiązania bez oglądania się, aż ktoś to zrobi.

— Niewątpliwie większe zaangażowanie i większa odpowiedzialność. Przyczyn tego upatrywałbym w warunkach, w jakich odbywała się kampania wyborcza w partii, a jakie są wynikiem systematycznie realizowanej polityki społecznej partii. Jako również w pewnych inicjatywach podejmowanych przez instancje powiatowe i instancję wojewódzką.

— Jakie to inicjatywy?

— Może jeszcze kilka słów o warunkach. Kampania sprawozdawczo-wyborcza w partii odbywała się w okresie, kiedy cały kraj przyspiesza tempo pracy. Po I Krajowej Konferencji Partyjnej, po XV Plenum KC PZPR, po ocenie wyników czteroletniej pracy w warunkach przyspieszania przeobrażeń w kraju dokonaliśmy ponownej oceny naszych zamierzeń i podwyższyliśmy własne zadania gospodarcze i społeczne. Partia odwołała się do ambicji ludzi pracy w mieście i na wsi, pokazała związki, jakie istnieją między lepszą pracą, wydajniejszą a warunkami życia. To przyczyniło się do zdynamizowania aktywności zawodowej społeczeństwa, przyczyniło się do bardziej konkretnego, rzeczowego traktowania spraw zakładu pracy, wsi, środowiska.

— Jest to konsekwencja polityki realizowanej dla ludzi i przez ludzi.

— Oczywiście. Tylko, że w tym sformułowaniu: „dla ludzi i przez ludzi" najczęściej główną uwagę koncentruje się na pierwszym członie: „dla ludzi". To łatwiej dociera do społecznej świadomości. Robimy dla siebie to, co nam potrzebne, co będzie nam ułatwiało życie, dążymy do tego, aby nam się wszystkim żyło lepiej i dostatniej, choć to nie jest takie proste i w realizacji tego celu napotykamy sporo różnych trudności.

Myśmy skoncentrowali się również na drugim członie tego sformułowania: „przez ludzi". Tu wiele pomogły indywidualne rozmowy. Wiadomo, że każda organizacja partyjna taka jest, jacy są jej członkowie. W rozmowach partyjnych, jakie co roku prowadziliśmy z jedną trzecią składu wojewódzkiej organizacji partyjnej kierownictwa poszczególnych ogniw mogły lepiej poznać swoich członków, dokonać wnikliwej i bezpośredniej wymiany poglądów, uwag, postulatów. Nie każdy umie, potrafi i chce mówić na zebraniu partyjnym. Inaczej w rozmowie kameralnej. Tu można powiedzieć znacznie więcej, swobodniej. Można porozmawiać. I nie tylko wysłuchać tego, co członkowie partii mają do powiedzenia, ale powiedzieć im to, co powinno się powiedzieć, zwrócić im uwagę na niewłaściwość postępowania, na braki i błędy.

— Była to pewnego rodzaju szkoła odpowiedzialności dla członków partii.

— Dla członków partii i dla kierownictw różnych organizacji partyjnych. Członkowie partii przekonywali się, że ich opinia waży, że z nią liczą się inni, a kierownictwa organizacji partyjnych przekonywały się, że ludzie mają wiele do powiedzenia, że myślą o sprawach im najbliższych i mają swoje zdania, uwagi, propozycje, nad którymi nie wolno przechodzić obojętnie.

— Jednocześnie ludzie przypadkowi mogli opuścić szeregi partyjne.

— I tak też się stało w wielu przypadkach. Jeśli wziąć pod uwagę dane statystyczne, to w niektórych organizacjach można zaobserwować sporo skreśleń z partii. Wniosek z tego taki, że organizacja partyjna nie reaguje wcześniej, nie zawraca swego członka czy kandydata ze złej drogi, że nie wpływa na niego wychowawczo. Rozmowy partyjne pokazały, że można tego unikać, jeśli poszczególnych członków organizacji partyjnej traktuje się indywidualnie, jeśli zapobiega się naruszaniu norm statutowych. Wpłynęło to zdecydowanie na jakość pracy wychowawczej. Czy już dostatecznie i czy wszędzie jednakowo? Zapewne jeszcze nie. Ale indywidualne rozmowy wysunęły w wewnętrznej pracy wojewódzkiej organizacji partyjnej na pierwsze miejsce sprawę indywidualizowania pracy partyjnej, indywidualizowania metod i zadań.

— I to był wniosek generalny?

— Ale nie jedyny. Drugim wnioskiem była potrzeba zwrócenia większej uwagi na pozytywne wzorce. Bardzo często mówimy, że brak nam pozytywnych bohaterów, że kiedyś mieliśmy ich sporo, bo takie były czasy, a teraz inne czasy, spokojniejsze, to i nie ma współczesnych bohaterów. Jest to nieprawda. Dlatego zwracamy bardzo dużo uwagi na ludzi rzetelnie wykonujących swoją pracę, ludzi zaangażowanych, wyrastających ponad przeciętność, myślących nie tylko o sobie, ale i o innych. I pokazujemy takich ludzi.

— Czy zawsze są oni godni miana współczesnego bohatera?

— Istotne jest to, aby wokół ludzi rzetelnych, pracowitych, ludzi zaangażowanych i z inicjatywą wytwarzać odpowiedni klimat. Aby oni stanowili wzorzec do naśladowania, aby otaczano ich szacunkiem. I aby to działanie nie dzieliło zespołów ludzi z sobą współpracujących, a je jednoczyło.

— To nie jest takie proste. Wyróżnianie jednych może budzić niechęć u innych.

— Zdajemy sobie z tego sprawę i dlatego dążymy do wyróżniania przez kolektywy. Zalecamy, aby nie działać pochopnie, z rozwagą. Chodzi nam bowiem o to, aby ludzie wnikliwiej rozglądali się wokół siebie, aby uczyli się oceniać pracę innych i pracę własną. Swój i innych udział w przeobrażeniach społecznych i gospodarczych I aby budzić ambicję.

— Wyróżnianie najlepszych jest też formą krytyki postaw przeciętnych, formą krytyki ludzi, którzy chcieliby przejść przez życie najspokojniej.

— Muszę powiedzieć, że w dyskusji, jaka odbyła się w toku kampanii wyborczej i sprawozdawczej, poprzedzającej Wojewódzką Konferencję, wiele było momentów krytyki bezpośredniej. Krytykowano nie tylko przejawy złej gospodarki, braku dbałości o materiały i surowce, ale wskazywano niewłaściwe wykorzystanie ludzi, ich umiejętności i doświadczenia, a także — i to jest bardzo cenne — krytykowano konkretne postawy. Krytykowano ludzi niezdyscyplinowanych, opuszczających się w pracy, zainteresowanych tylko własnymi sprawami, niezaangażowanych. Krytykowano konkretnie i — powiedziałbym — pryncypialnie. Wynikało to nie z wzajemnych animozji i antypatii, ale z troski o sprawy środowiska, zakładu pracy.

— A na wsi?

— Na wsi sprawa wygląda trochę inaczej. Oceniamy, że około połowa gospodarstw indywidualnych osiąga dobre wyniki, jest prowadzona we właściwy sposób. Reszta nie i właśnie na zebraniach partyjnych na wsi krytyka sprowadzała się nie tylko do wytykania braków w pracy instytucji obsługujących rolnictwo, ale także wskazywano na braki w sposobach gospodarowania, na przestarzałe jeszcze metody, na niewysokie wyniki, jakie osiągają niektórzy rolnicy.

— Tu działają też przyczyny obiektywne, choćby to, że niektóre wsie gwałtownie się starzeją.

— To jest prawda, ale wieś mimo to dysponuje sporymi jeszcze rezerwami i na te rezerwy wskazywano w dyskusji na zebraniach w wiejskich ganizacjach partyjnych.

— Ludzie opuszczający wieś zasilają klasę robotniczą. Powoduje to jej zróżnicowanie. Jak to wpływa na formy pracy partyjnej?

— Mówiłem już, że dążymy przede wszystkim do zróżnicowania, do zindywidualizowania form pracy partyjnej. Problem jest jednak bardziej złożony. Po pierwsze — klasę robotniczą zasilają ludzie ze wsi, przynosząc z sobą inny sposób myślenia, inne nawyki i obyczaje. Po drugie — bardzo dużo robotników jest jednocześnie chłopami. Po pracy w fabryce czy w przedsiębiorstwie budowlanym zajmują się oni pracą w gospodarstwie rolnym. Często są oni członkami czy kandydatami partii w fabryce, a na wsi nawet o tym nikt nie wie.

— Przy czym ich udział w pracy organizacji partyjnej w miejscu pracy jest dość problematyczny.

— Ledwie skończą pracę, spieszą do siebie na wieś. Dlatego też przywiązujemy wielką wagę do pracy partyjnej w miejscu zamieszkania. Każdy członek partii powinien swoją postawą dokumentować przynależność do partii w każdym miejscu i sytuacji. Nie można być członkiem partii w pracy, a czuć się zwolnionym od partyjnych obowiązków w domu. I dotyczy to nie tylko ludzi mieszkających na wsi. Dotyczy to wszystkich członków i kandydatów partii.

— Zróżnicowanie klasy robotniczej wynika jednakże nie tylko z tego powodu, że jej część ma wiejski rodowód. Na drugim biegunie grupuje się najbardziej świadoma, wykształcona, doświadczona część klasy robotniczej. Jakie to rodzi konsekwencje w pracy partyjnej?

— Po pierwsze — ciągle obowiązuje równanie do najlepszych. Ale nie może to być tylko hasłem. Trzeba, aby w pracy każdej organizacji partyjnej należyte miejsce zajmowało kształtowanie świadomości politycznej i społecznej. Zwraca się na to wielką uwagę w dokumentach XVI Plenum KC PZPR. Żadna organizacja nie może zaniedbywać pracy wychowawczej, ideowo-politycznej.

— A po drugie?

— Po drugie — powinniśmy obok sojuszu robotniczo-chłopskiego umacniać również — jeśli się tak można wyrazić — sojusz z inteligencją pracującą. Na tę sprawę również zwraca się wiele uwagi w materiałach XVI Plenum KC partii. Stawiamy sobie bardzo ambitne zadania i będziemy stawiali zadania jeszcze ambitniejsze. Chcemy na przykład w województwie zmodernizować przemysł, chcemy osiągać jeszcze wyższe wyniki. Ale nie osiągniemy tego tylko samym wysiłkiem ludzi pracy. Musimy nasz przemysł wzbogacić nową, wyższą techniką, nowymi technologiami. Nie osiągniemy postępu bez udziału inteligencji twórczej, bez rozwijania ruchu wynalazczości, bez pomocy nauki. Trzeba zatem dążyć do wiązania w jedność wysiłków ludzi pracy, klasy robotniczej z wysiłkami ludzi nauki i techniki. Tylko ich wzajemne powiązanie może zapewnić dalszy, szybki i pożądany rozwój gospodarki, a co zatem idzie i poprawę warunków życia.

— Jak wyglądają przemiany struktury społecznej na wsi?

— Wspomniałem już o tym, że sporo ludzi odchodzi ze wsi do miasta. Jest to proces naturalny. Ludzie starzy proszą o przejęcie ich gospodarki w zamian za rentę. W województwie łódzkim jest wiele podań od rolników, którzy proszą o przejęcie ich gospodarstwa. Miasto czeka na ludzi, gdyż ciągle występuje deficyt ludzi w przemyśle i innych działach gospodarki. Z drugiej strony coraz więcej młodych, wykształconych rolników chce gospodarować w nowych, innych warunkach. Tworzą się zespoły rolników. Jest to już wyższa forma gospodarowania na wsi. Tworzą się związki ze spółdzielniami produkcyjnymi, PGR. Proces przemian socjalistycznych na wsi dokonuje się może powoli, ale stale. Zadaniem partii jest sterować tymi procesami w kierunku umacniania socjalizmu na wsi.

— Jest to forma spełniania kierowniczej roli partii.

— Dążymy do tego, aby każda organizacja partyjna, każda instancja właściwie pojmowała kierowniczą rolę partii. Tę funkcję spełniają nie tylko centralna instancja czy instancje wojewódzkie, ale każda organizacja partyjna. Sterowanie procesami społecznymi i gospodarczymi, organizowanie ludzi do podejmowania wyższych i bardziej ambitnych zadań, wytyczanie celów konkretnych i leżących w interesie całego społeczeństwa, to również formy spełniania kierowniczej roli partii.

W toku kampanii sprawozdawczo-wyborczej w każdej instancji, zakładowej, gminnej, powiatowej, miejskiej i wreszcie wojewódzkiej opracowane zostały programy rozwoju społeczno-gospodarczego. Określone zostały konkretne cele, jakie chcemy osiągnąć, aby móc zrealizować wizję Polski dostatniej, zasobnej. Cechą tych programów jest nie tylko określenie celów, ale i środków oraz metod i sił, jakimi powinniśmy i możemy je zrealizować. Programów tych nie będzie można zrealizować bez sterowania procesami społecznymi, mobilizacji sił społecznych, szukania jak najbardziej skutecznych sposobów działania, wzbogacania ludzkiego wysiłku nowoczesną techniką i nowymi technologiami. Realizacja tych programów pokaże, na ile organizacje partyjne właściwie pojmują swoją kierowniczą, inspiratorską i kontrolną rolę. Zadaniem powiatowych instancji i instancji wojewódzkiej będzie pomagać w tej pracy, kontrolować i podpowiadać coraz lepsze i skuteczniejsze metody działania partyjnego.

Niezależnie jednak od tego główny ciężar partyjnego działania będzie spoczywał na pracy z każdym członkiem partii, na kształtowaniu jego postawy, zaangażowania i poczuciu odpowiedzialności za sprawy całej partii.

— Zbliża się VII Zjazd partii. Jakie zadania przed Zjazdem stawia sobie wojewódzka organizacja partyjna?

— W każdej dziedzinie określiliśmy bardzo ambitne zadania, wyższe niż zakładał to plan społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. W ubiegłym roku osiągnęliśmy przyrost produkcji wynoszący 16 proc. i chcemy utrzymać to tempo, zwiększając wydajność pracy o 12,7 proc., a więc wyżej niż

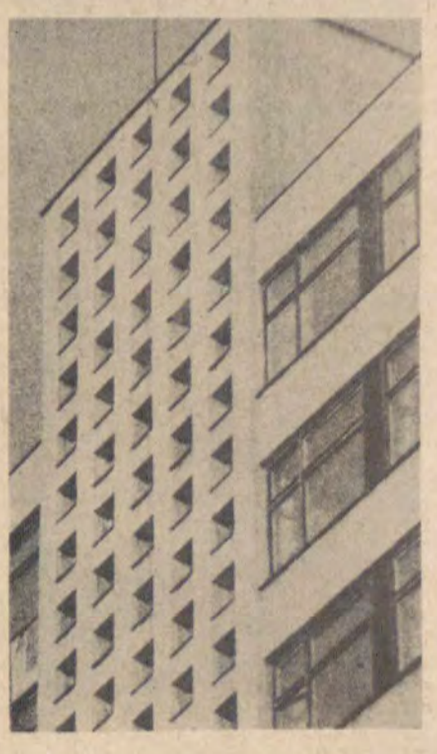

Fot. Włodzimierz Parys

wynosi średnia w kraju. Pozwoli to województwu dać przyrost wartości produkcji o 10 miliardów złotych więcej niż w roku ubiegłym.

Podobnie w rolnictwie. W ubiegłym roku mieliśmy wysokie rezultaty, choć jeszcze nie na miarę potrzeb społecznych i gospodarczych, gdyż mamy — jak wiadomo — braki w zaopatrzeniu. W tym roku chcemy zwiększyć przyrost pogłowia bydła w granicach 7—9 procent, trzody chlewnej — 16 procent. Tu warto podkreślić, że województwo łódzkie pięciolatkę w rolnictwie wykonało już rok temu, ale to nas nie zaspokaja i dążymy do dalszej intensyfikacji rolnictwa gdyż takie są potrzeby kraju, potrzeby rynku.

Będziemy więc chcieli na VII Zjeździe partii zameldować o dalszych osiągnięciach gospodarczych i stąd zadaniem całej wojewódzkiej organizacji jest troska nie tylko o wypełnienie naszych zobowiązań, ale w miarę możliwości — ich przekroczenie.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Fot. Archiwum

HIPOTEZY (II)

W książce „Chariots of the Gods" (Rydwany bogów) wysunąłem hipotezę, że „bóg stworzył człowieka na wzór i podobieństwo swoje przez sztucznie wywołaną mutację. Podejrzewałem, że oddzielenie gatunku **Homo sapiens** od małp odbyło się na skutek planowej mutacji. Atakowano mnie za to twierdzenie.

Ponieważ poszukiwania śladów pochodzenia i rozwoju człowieka ograniczają się dotąd jedynie do naszej planety, moja teoria dotycząca interwencji istot pozaziemskich jest teorią śmiałą. Jednakże jeśli ją rozsądnie rozważymy, okaże się, że obowiązująca dotychczas teoria rozwoju człowieka (tryb życia na drzewach małpy zmieniły na naziemny, przeszły mutację i stały się praprzodkami człowieka) będzie nie do utrzymania. Od czasu kiedy Karol Darwin (1809—82) ogłosił teorię doboru naturalnego, wszystkie odnalezione skamieniełiny i szczątki istot pierwotnych z okresu przed pojawieniem się **Homo sapiens** wydawały się być przekonywającymi dowodami słuszności tej teorii. Na przykład Johann Carl Fuhlrott (1804—87) ze znalezionych szczątków kości zrekonstruował szkielet istoty pierwotnej zwanej człowiekiem neandertalskim, który żył około 120 000 do 80 000 lat temu. Oprócz człowieka neandertalskiego zdołano zrekonstruować szkielety wielu innych gatunków istot człekokształtnych.

Czego dowodzą te znaleziska?

Udowadniają one, że nie jesteśmy w stanie nic stwierdzić na pewno, ponieważ każde nowe znalezisko rzuca cień wątpliwości na ustalenia wieku poprzednich. Pomimo ogromnej ilości odkryć, można powiedzieć, że dają one bardzo niedokładne wskazówki odnośnie historycznej ciągłości pochodzenia i rozwoju rasy ludzkiej. Oczywiście, linię rozwojową od istot pierwotnych do **Homo sapiens** można śledzić na przestrzeni milionów lat lecz nie można nic dokładnie powiedzieć o pojawieniu się inteligencji u człowieka. Dotychczas nie udało mi się natrafić na teorię, która wyjaśniałaby to w sposób zadowalający. Ponieważ na ten temat jest wiele różnych spekulacji, uważam, że mam również prawo przedstawić swoją własną teorię.

Fot. Archiwum

W trakcie tysięcy milionów lat ogólnego rozwoju inteligencja człowieka zjawiła się niemalże nagle. (Jeśli liczymy w milionach lat, to można powiedzieć, ze stało się to nagle). Będąc jeszcze małpami człekokształtnymi nasi przodkowie stworzyli to, co nazywamy kulturą ludzką zadziwiająco szybko. Aby tak się stało, musiała się nagle pojawić inteligencja. Kilka milionów lat minęło zanim, na skutek naturalnych mutacji, pojawiły się małpy człekokształtne lecz potem istoty te rozwinęły się w tempie piorunującym. Około 40 000 lat temu obserwuje się nagły postęp: wynaleziony zostaje łuk, kij jest używany jako broń, pojawiają się pierwsze narzędzia kamienne oraz malowidła na ścianach jaskiń, człowiek nauczył się krzesać ogień. Jednakże między prapoczątkami technicznej aktywności człowieka — garncarstwem — a momentem, z którego pochodzą dalsze znaleziska w osiedlach ludzkich leży okres 500 000 lat.

Loren Eiseley, profesor antropologii z University of Pennsylwania pisze, że człowiek wynurzał się ze świata zwierzęcego w ciągu milionów lat i bardzo powoli przyoblekał się w cechy ludzkie. **„Jednakże"** — mówi dalej profesor — **„istnieje jeden wyjątek od tej reguły. Wygląda na to, że umysł ludzki przeszedł na koniec gwałtowny rozwój i wtedy dopiero człowiek ostatecznie oddzielił się od swoich krewniaków".** Kto nauczył nas myśleć?

Mam uznanie dla ciężkiej pracy antropologów, lecz szczerze przyznaję, że nie interesują mnie z jakiego okresu są szczątki przez nich znajdywane. Nie ważne jest też kiedy **Homo sapiens** zaczął używać prymitywnych narzędzi. Dla mnie rzeczą ważną jak i oczywistą jest to, że człowiek pierwotny był najinteligentniejszą istotą na naszej planecie. Logiczne jest zatem przypuszczenie, że „bogowie" tę właśnie istotę wybrali dla sztucznej mutacji. Mnie bardziej interesuje, kiedy człowiek pierwotny po raz pierwszy zaczął odczuwać takie wartości moralne jak lojalność, miłość i przyjaźń. Pod jakim wpływem byli nasi przodkowie, gdy zachodziły w nich takie zmiany? Kto zaszczepił w nich poczucie czci? Kto wyzwolił uczucie wstydu przy odbywaniu stosunku płciowego?

Czy istnieje jakieś wiarygodne wyjaśnienie, dlaczego dzicy nagle zaczęli się odziewać? Gdyby powodem były, jak się powszechnie uważa, zmiany klimatyczne oraz chęć przyozdabiania się, to orangutany i szympanse żyjące w dżungli powinny też po jakimś czasie zacząć nosić spodnie oraz ozdoby.

Dlaczego ludzie pierwotni zaczęli nagle grzebać swoich zmarłych, gdy sami dopiero co żyli jak zwierzęta?

Kto nauczył dzikich zbierać nasiona pewnych roślin, tłuc je na proszek, dodawać wody i piec pożywienie z powstałej papki?

Dlaczego małpy człekokształtne i ludzie pierwotni przez miliony lat nie mogli nauczyć się niczego a potem nagle ci sami ludzie pierwotni nauczyli się tak dużo?

Badania naukowe poświęcone wyjaśnieniu pochodzenia człowieka są ważne i interesujące. Jednakze równie interesujące wydaje się pytanie dlaczego, jak i kiedy człowiek stał się istotą inteligentną.

Wspomniany Loren Eiseley pisze: **„Mamy wszelkie powody wierzyć, bez umniejszania wagi sił biorących udział w rozwijaniu umysłu ludzkiego, że uparta i długotrwała walka o byt pomiędzy kilkoma grupami ludzkimi nigdy nie mogłaby dać w wyniku tak wysokich zdolności umysłowych jakimi obdarzone są wszystkie rasy ludzkie na świecie. Coś innego, jakiś inny czynnik kształcący musiał ujść uwadze teoretyków ewolucji".**

To jest dokładnie to, o co mi chodzi. Istnieje decydujący czynnik, który nie został wzięty pod uwagę w żadnej teorii na ten temat. Wątpię, czy uda nam się czynnik ten odkryć, jeśli nie zbadamy teorii mówiącej o odwiedzinach naszej planety przez istoty rozumne i jeśli nie sprawdzimy, czy one nie są odpowiedzialne za sztuczne przetworzenie czynników dziedziczności, za przekształcenie kodu genetycznego oraz za nagle pojawienie się inteligencji u człowieka.

Wyniki najnowszych badań naukowych wskazują na to, że taka interwencja istot pozaziemskich jest możliwa do pomyślenia.

Przyjmuje się obecnie, że życie na Ziemi powstało około półtora miliarda lat temu. W roku 1953 Stanley Miller , przeprowadził eksperyment mający na celu sprawdzenie, czy uda się sztucznie wytworzyć aminokwasy potrzebne dla istnienia życia, w warunkach zbliżonych do tych jakie musiały panować na Ziemi miliony lat temu. W tym celu, w szklanym zbiorniku napełnionym amoniakiem, wodorem, metanem, i parą wodną Miller wytwarzał miniaturowe wyładowania elektryczne. Zawartość zbiornika, uprzednio wysterylizowanego, utrzymywana była w odpowiedniej temperaturze. Po tygodniu otwarto zbiornik i stwierdzono, że zawierał aminokwasy potrzebne do budowy systemów biologicznych. Tak więc, udało się z materii nieożywionej wytworzyć złożone kombinacje organiczne.

Około połowy wieku dziewiętnastego udowodniono, że komórka jest nosicielem wszystkich funkcji życiowych. Obecnie podejrzewa się, że centra informacji i przenoszenia czynników dziedzicznych znajdują się w komórce i jego jądrze. Stwierdzono dotychczas, że każdy organizm posiada określoną ilość chromozomów o określonym kształcie. Chromozomy te są nośnikami dziedziczności. Na przykład, komórki człowieka mają 23 pary chromozomów (w sumie 46), komróki owcy — 27 par...

Eksperyment Millera i podobne mu eksperymenty mają uzmysłowić czytelnikowi, że budowa żywego organizmu jest procesem chemicznym. Życie może być wytworzone w laboratoriach.

Kwasy nukleinowe determinują skomplikowany proces dziedziczności. Kolejność czterech podstawowych substancji — adeniny, guaniny, cytozyny i tyminy — stanowi kod genetyczny wszystkich form żywych. Odkrycie to pozwoliło chemii odsłonić dużą część tajemnic życia.

Istnieją dwie grupy kwasów nukleinowych: RNA (kwas rybonukleinowy) i DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy). Zarówno RNA jak i DNA konieczne są do syntezy białka w komórkach. Jest faktem, że białka wszystkich dotychczas zbadanych organizmów składają się z około dwudziestu aminokwasów i że kolejność tych aminokwasów jest określona przez kolejność czterech substancji zasadowych w DNA, to znaczy w kodzie genetycznym.

Jednakże, nawet jeśli znamy strukturę kodu genetycznego, to jeszcze daleko nam do odczytania informacji zawartej w chromozomie. Jednakże sam fakt, że dwadzieścia aminokwasów jest nosicielami życia i że ich ułożenie w cząsteczce białka jest określone w kodzie genetycznym jest faktem niezwykle doniosłym.

Wielu uczonych uważa, że odkrycie to będzie wykorzystane w przyszłości. Profesor Marshall W. Nierenberg, który odegrał ważną rolę w odkryciu kodu genetycznego, stwierdza:

„Nie wątpię, że kiedyś pokona się trudności. Jedynym pytaniem jest, kiedy. Wyobrażam sobie, że uda nam się programować komórki z syntetyczną informacją genetyczną w ciągu najbliższych 25 lat".

Jedna z gazet w Waszyngtonie, „Post", w wydaniu z 31 października 1966 roku tak opisuje prawdopodobne rezultaty programowania kodu genetycznego:

„Za dziesięć lub piętnaście lat gospodyni domowa będzie mogła pójść do specjalnego sklepu i ze zbioru paczuszek, takich jak paczuszki z nasionami roślin, wybrać swe przyszłe dziecko. Każda paczuszka zawierać będzie jednodniowy zamrożony zarodek, a na etykiecie kupujący odczyta kolor włosów i oczu, wymiary ciała oraz iloraz inteligencji jakiego można oczekiwać od przyszłego dziecka. Będzie tam również gwarancja, że zarodek nie ma wad dziedzicznych. Kobieta zabierze wybrany zarodek do swego lekarza, który dokona zabiegu wszczepienia. Zarodek będzie się rozwijał w jej ciele przez dziewięć miesięcy, jak jej własne dziecko".

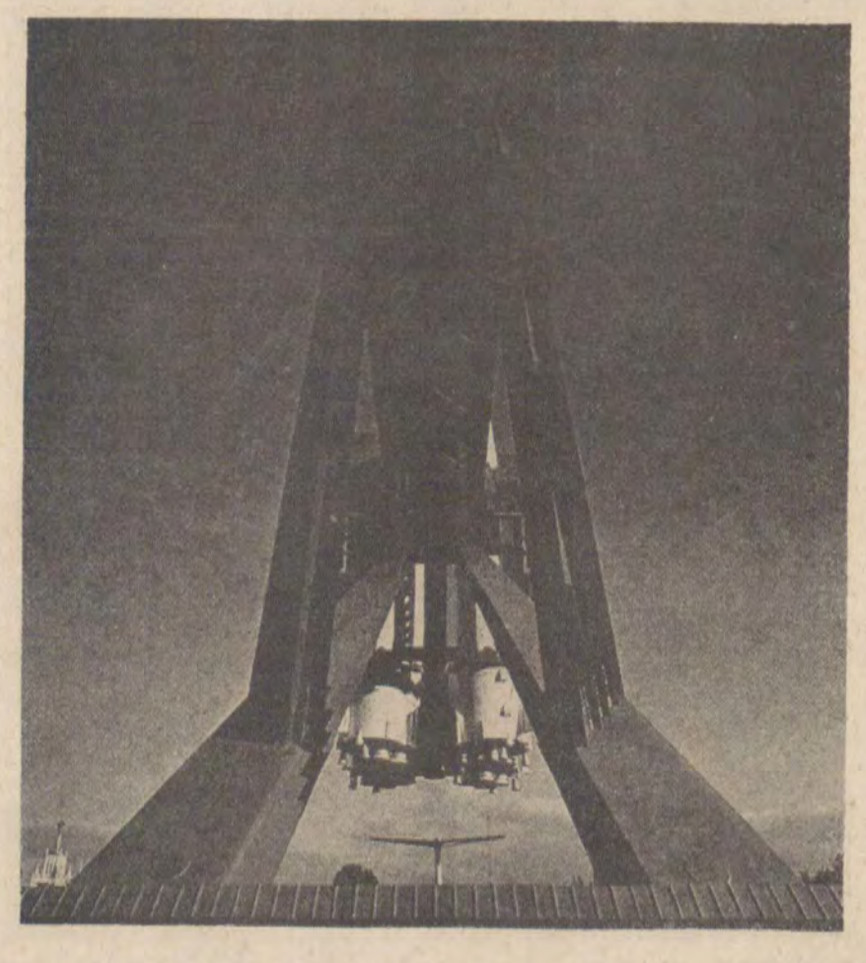

Fot. Archiwum

W roku 1967, uczonym ze Stanford University w Palo Alto w Kalifornii udało się syntetycznie stworzyć aktywne biologicznie jądro wirusa typu Phi X 174. Po przeniesieniu sztucznego wirusa do komórek żywiciela okazało się, że zaczął się on rozmnażać tak jak wirus niesyntetyczny. Zgodnie z informacją zakodowaną w cząsteczce DNA, komórki wytwarzały skomplikowane układy białkowe z aminokwasów. Każdy nowy układ dokładnie pokrywał się z zaprogramowaną próbką. Uczeni wyliczyli, że tylko raz na sto milionów nowych komórek zdarzyła się „pomyłka genetyczna".

Wielu czytelników zapyta, co te biochemiczne dygresje mają wspólnego z tematem mojej książki. Skoro okazuje się, że można odkryć tajemnice dziedziczności i sposoby kierowania nią, skoro my, ludzie, o tym wiemy, to uważam za rzecz bardzo prawdopodobną, że nieznani kosmonauci przywieźli z sobą na Ziemię wiedzę, którą my dopiero teraz odkrywamy i że uczynili oni naszych przodków inteligentnymi przez odpowiednie zaprogramowanie kodu genetycznego.

W Biblii czytamy (Genesis 5: 1—2):

„W dzień, którego stworzył Bóg człowieka, na podobieństwo Boże uczynił go,

Mężczyznę i niewiastę stworzył je; i błogosławił im, i nazwał imię ich, człowiek, w dzień, którego są stworzeni".

Według mnie, mogło to stać się tylko w wyniku sztucznej mutacji kodu genetycznego człowieka pierwotnego dokonanej przez nie znanych przybyszów. W ten sposób ludzie nowej rasy otrzymaliby nagle takie cechy jak świadomość, pamięć, inteligencja, itp.

W dalszej części biblijnej historii stworzenia mamy inną wersję stworzenia kobiety (Genesis 2: 21—23):

„Tedy przypuścił Pan Bóg twardy sen na Adama, i zasnął; i wyjął jedno żebro jego, i napełnił ciałem miasto niego. I zbudował Pan Bóg z żebra onego, które wyjął z Adama, niewiastę, i przywiódł ją do Adama.

I rzekł Adam: Toć teraz jest kość z kości moich(!), i ciało z ciała mego(!): dla tegoż będzie zwana mężatka, bo ona z męża wzięta jest".

Czy Ewa powstała z komórki nasienia męskiego? Skoro, według Biblii, nie było w raju kobiety, która mogłaby przyjąć nasienie, Ewa musiała być wytworzona w retorcie. Zachowało się wiele rysunków przedstawiających podobne do retort przedmioty, na ścianach jaskiń człowieka pierwotnego. Czy nieznane nam istoty reprezentujące wysoki stopień rozwoju nauki i zdające sobie sprawę z immunologicznych reakcji biologicznych kości mogły użyć szpiku kostnego Adama jako pożywki, na której rozwijało się nasienie?

Jest rzeczą możliwą, że **Homo sapiens** pojawił się w różnych częściach świata albo dzięki planowej mutacji kodu genetycznego ludzi pierwotnych albo dzięki sztucznemu wyhodowaniu kobiety w retorcie.

Jednakże ludzie nowej rasy w dalszym ciągu obcowali ze zwierzętami, co prowadziło do reprodukcji równoznacznej z cofaniem się w rozwoju. Czy to zejście na złą drogę było jednocześnie grzechem pierworodnym?

Kilka tysięcy lat później „bogowie" naprawili skutki upadku (później powiem więcej na ten temat): zgładzili istoty będące krzyżówkami ludzi i zwierząt, oddzielili wszystkich nieskażonych genetycznie ludzi nowej rasy oraz dokonali drugiej mutacji genetycznej.

Jeśli przyjmiemy dane antropologiczne określające daty zasadniczych zmian zachodzących w naszych przodkach dla naszej teorii planowej sztucznej mutacji przeprowadzonej przez nie znanych przybyszów, to pierwsza sztuczna mutacja kodu genetycznego musiała mieć miejsce między 40 000 a 20 000 lat przed naszą erą. Druga sztuczna mutacja dokonana byłaby w czasach nowszych, między 7 000 a 3 500 lat przed naszą erą.

Cdn.

Tłumaczył:
B. KRAKOWIAN

DLA NASZEGO DOMU

Jak często człowiek kupuje meble? Raz, dwa razy w życiu. W wyjątkowych tylko wypadkach częściej. Meble dziedziczy się po rodzicach, a zmienia się je najczęściej przy przeprowadzce, przy otrzymaniu nowego, większego mieszkania. Meble zmienia się też wraz ze zmianą pozycji społecznej, kiedy trzeba dopasować się do stylu życia, bycia i mieszkania tej grupy społecznej, do jakiej się awansowało. Wiadomo jednak, że kupowanie mebli nie jest wcale sprawą łatwą.

BOGDA MADEJ

W KOLEJCE PO MEBLE

W ubiegłym roku łódzcy budowlani oddali 30 tys. izb, a w tym roku mają oddać do użytku 37 tys. izb. Wiele rodzin wprowadzając się do nowych mieszkań rezygnuje ze starego umeblowania i staje w kolejce po nowe meble. A przecież nowe mieszkania buduje się nie tylko w Łodzi, buduje się je w całym kraju. Produkcja mebli nie nadąża jednak za potrzebami. Braków nie wyrównuje także import mebli. W najbliższych latach nastąpi rozbudowa przemysłu drzewnego, wytwarzającego meble. Jest to pociecha dla tych, którzy dopiero czekają na nowe mieszkania, ale co mają robić ci, którzy je już dostali, albo którzy je dostaną w najbliższym czasie? Czy przy obecnym stanie produkcji mebli można pomóc klientom? I jak?

GDZIE KUPOWAĆ MEBLE?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta: w sklepie. Ale wojewódzkie przedsiębiorstwa handlu meblami dysponują niewieloma sklepami przystosowanymi do sprzedaży tego poszukiwanego towaru. W Łodzi warunki dla ekspozycji mebli posiada właściwie tylko „DOMUS", który jednak nie posiada w pobliżu magazynu. Magazyn jest na Żabieńcu, przy ulicy Brukowej.

HANDLOWCY: — Bardzo często sprzedajemy meble „w ciemno". Mamy niekiedy trudności w porozumieniu się telefonicznym z Żabieńcem, aby ustalić jaki jest stan zapasów. Aby dobrze handlować meblami sklep musi posiadać własny magazyn.

Dopiero w tym roku **Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Meblami w Łodzi** rozpocznie sprzedaż „Nowej Łodzi" w niektórych miastach województwa łódzkiego. Będzie to sprzedaż na zasadzie wysyłkowej. W poszczególnych miastach zorganizowana będzie ekspozycja „Nowej Łodzi". Klient będzie mógł sobie zamówić komplet mebli, a sklep dostarczy mu je do domu po 20 dniach. Meble będą magazynowane w Zduńskiej Woli. Do tej pory trzeba było po meble tego typu przyjeżdżać do Łodzi. A i to czasem bezskutecznie.

Klienci i handlowcy marzą o takich sklepach, w których można byłoby sprzedawać nie tylko meble, ale i dywany, zasłony, narzuty na tapczany, firanki, gdzie można byłoby kompletować sobie i dobierać „pod kolor" i pod gust całe wyposażenie mieszkania.

HANDLOWCY: — Jest to gradacja potrzebna. Wiadomo, że szybciej buduje się mieszkania. Wolniej i trudniej — sklepy, punkty usługowe, żłobki, przedszkola. Mamy nadzieję, że nadejdzie też czas i na budowę nowoczesnych sklepów z meblami. Najpierw trzeba budować te sklepy, które zaspokajają podstawowe potrzeby społeczeństwa.

W najbliższym czasie sklep przy Pl. Kościelnym, gdzie do tej pory sprzedawano meble kuchenne, zostanie przekształcony w sklep sprzedający meble typu „Łask", „Nowa Łódź". Sklep ten posiada własny magazyn. Patronat nad sklepem obejmują ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI, które są producentem „Lasku" i „Nowej Łodzi". W sklepie tym klient będzie mógł sobie dobrać takie elementy segmentów, jakie odpowiadają jego potrzebom i gustom. Do tej pory „Nową Łódź" i „Łask" sprzedawano tylko w kompletach.

HANDLOWCY: — Sprzedajemy „Nową Łódź" w takich kompletach, jakie nam zaproponował producent.

PRODUCENT: — Sposób sprzedaży mebli jest sprawą handlu. W Warszawie na przykład klient mógł sobie dobierać poszczególne elementy „Nowej Łodzi" według upodobania. Tego typu sprzedaż jest dla handlu trudniejsza. Nam przeciwnie, łatwiej dostarczać przedsiębiorstwom handlowym żądane elementy.

HANDLOWCY: — „Nowa Łódź" nie spotkała się ze szczególnie przychylnym przyjęciem klientów. Niektórzy nazywają ją „wagonową" ze względu na konstrukcję drzwi. „Łask", który również produkują „ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI", jest bardziej popularny.

PRODUCENT: — „Nową Łódź" produkujemy według projektu inż. arch. Czesława Kowalskiego. Niektórzy nazywają ten typ mebli „wagonowymi", ale to nie przeszkadza, że w Warszawie wprowadzono w tej chwili zapisy na „Nową Łódź". Mieliśmy już sygnały, że „Nowa Łódź" „nie idzie". Wzięliśmy więc te meble od niektórych wojewódzkich przedsiębiorstw handlu meblami i... sprzedaliśmy je sami.

Likwiduje się zapisy na meble. Zastępuje się je przedpłatami. O kolejności dostawy mebli dla klientów decydować będzie kolejność wpłaty. Przedpłaty są formą umowy zawartej między klientem a przedsiębiorstwem handlowym. Termin dostawy: drugi, trzeci, czwarty kwartał 1975 roku lub nawet początek 1976 roku. Zależy to od popytu na dany typ mebli i kolejności wpłaty.

Wprowadzenie zasady przedpłat jest jednym ze sposobów łagodzenia deficytu mebli na rynku. Handlowcy na przykład obliczyli, że dla Łodzi potrzeba mebli o wartości 2 100 milionów zł, ale przemysł gwarantuje łódzkiemu handlowi meblami dostawy wartości 1 530 milionów zł. W systemie krajowego zaopatrzenia Łódź zajmuje trzecie miejsce — po Warszawie i Katowicach.

Przedpłatami obejmuje się między innymi: „Swar — kombi", „Kozienice", „Samantę", „Łask", „Puszczę — kombi" i „Słowieniec". Przedpłaty przyjmuje się również na meble z importu. Cieszą się one na polskim rynku dużym powodzeniem.

„GŁOS ROBOTNICZY": — „W drugim kwartale spodziewane są także transporty pewnej ilości mebli z importu — NRD, Rumunii, Jugosławii. (...) Nie będą to duże dostawy, ale urozmaicą nieco ofertę".

HANDLOWCY: — Nic nam jeszcze dokładnie nie wiadomo o tych dostawach. Jak na razie trwają pertraktacje handlowe.

CO KUPOWAĆ?

„GŁOS ROBOTNICZY" — „Najbardziej jaskrawy przykład — meble egipskie, po horrendalnie wysokich cenach, boć to przecież robota rzemieślnicza, ale nieprzydatne w przeciętnym M-2, M-3..."

HANDLOWCY: — Wbrew powszechnemu przekonaniu meble egipskie znajdują nabywców. Nie wszyscy ludzie mieszkają tylko w M-2 czy M-3. Natomiast nie ma popytu na meble typowo wypoczynkowe, komplety młodzieżowe „Jacek" ze Świdnicy, na meble kolorowe. Nowe typy mebli przyjmują się bardzo długo, ale jak już się przyjmą, to bardzo długo jest na nie zapotrzebowanie.

Fot. Włodzimierz Parys

Klient jest praktyczny i stara się kalkulować. Poszukuje mebli uniwersalnych. Komplet wypoczynkowy może być przydatny w dużym, wielopokojowym mieszkaniu. W małym mieszkaniu potrzebne są meble wielofunkcyjne. W dzień tapczan musi służyć do wypoczynku, w nocy — do spania. Regał musi zastępować szafę, komodę i kredens, a także pełnić rolę domowej biblioteki. Kto w małym mieszkaniu może pozwolić sobie na przeznaczenie jednego pokoju tylko dla dziecka czy dzieci? Pokoje w małych mieszkaniach są również wielofunkcyjne. Większe mieszkania zaczęliśmy budować dopiero od kilku lat.

Klient jest praktyczny i tradycyjny w swoich upodobaniach. Meble kupuje się na długie lata. Powinny być solidne, funkcjonalne. Najlepsze są ciemne i na wysoki połysk. Mody szybko przemijają, kolorowe meble szybko się opatrzą, a meble z wysokim połyskiem długo zachowują świeżość, są trwałe. Klient sklepów meblarskich wywodzi się z różnych grup społecznych. Często są to ludzie awansujący w hierarchii społecznej, szukający potwierdzenia swojej nowej pozycji, szukający wzorów niekiedy w mieszczańskich tradycjach. Z braku innych.

HANDLOWCY: — Najmniejsze zainteresowanie budzą u kupujących atrakcyjne często propozycje plastyków, wzorowane na meblach zachodnich. Największe zainteresowanie budzą meble typu „Łask", czy „Kozienice". „Łask" posiada 9 podstawowych zestawów i jest bardzo funkcjonalny. Poszukiwane są też komplety kuchenne z Wolsztyna. „Nowa Łódź" natomiast nie spotkała się z takim przyjęciem, jakby się można było tego spodziewać.

PRODUCENT: — Oddelegujemy do sklepu przy Pl. Kościelnym dwóch specjalistów, techników albo nawet inżynierów, którzy przez pewien czas, około dwóch miesięcy, będą doradcami personelu tego sklepu i doradcami klientów. Będą pokazywali, co można sobie skompletować z mebli składanych. Dostarczamy Łodzi meble typu „Łask" i „Nowa Łódź" wartości około 60 milionów zł rocznie. Załoga ŁÓDZKICH FABRYK MEBLI zobowiązała się dostarczyć meble o wartości 3 milionów zł. Meble te przeznaczymy dla Łodzi. Będzie więc więcej mebli typu „Nowa Łódź" i „Łask".

HANDLOWCY: — ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI patronowały stoisku w „Domusie", ale był to patronat wymuszony. Miejmy nadzieję, że kontakt producenta z klientami w sklepie przy Pl. Kościelnym pozwoli producentowi na lepsze poznanie rynku, wymagań i gustów klienta.

PRODUCENT: — Produkujemy to, na co jest zapotrzebowanie, na co jest zbyt.

HANDLOWCY: — W magazynach leży 165 kompletów „Nowej Łodzi", do których ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI powinny wymienić 315 par drzwi. Nie możemy sprzedać tych kompletów.

PRODUCENT: — Stosujemy folię typu „teac", ale nie chcemy zapełniać wszystkich mieszkań jednakowymi meblami, dlatego różnicujemy folię. Klient już przyzwyczaił się, że folia jest jednakowo drukowana. Dawniej, kiedy stosowano forniery nie można było idealnie utrafić słoi drzewa i to nikogo nie raziło. Dziś wszyscy domagają się jednakowego wzoru na folii. Skończyły się niestety zapasy jednego wzoru folii i stosujemy teraz inny. Ale nie sądzimy, aby tych kompletów nie można było sprzedać.

MEBLE DO NASZYCH MIESZKAŃ

Zdania są podzielone.

HANDLOWCY: — Klient poszukuje uniwersalnych kompletów, którymi można umeblować dwa pokoje. W takim komplecie są elementy wypoczynkowe, sypialne, stołowe.

PRODUCENT: — Nie można klientowi wmuszać kompletów. Trzeba stworzyć swobodę wyboru. Niech kupuje takie meble, jakie mu są potrzebne. Po to właśnie uruchomiliśmy produkcję mebli składanych.

A co sądzą o tym klienci?

Właściciele dużych mieszkań byli zą kompletami. Można nimi rzeczywiście umeblować dwa pokoje, a kłopot jest jeden. Dokupić wprawdzie trzeba jeszcze to i owo, ale już jest mniej chodzenia, poszukiwania, wyczekiwania na dostawy.

Właściciele małych mieszkań są za kompletowaniem poszczególnych mebli. Jeśli nawet kupują całe komplety, to starają się niektóre elementy odsprzedawać innym, bo się im nie mieszczą. Chętni zawsze się znajdą.

Handel musi więc być bardziej elastyczny, musi stwarzać klientowi możliwość kupowania zarówno kompletów, jak i dobierania sobie poszczególnych elementów umeblowania zgodnie z potrzebami i upodobaniami. Oczywiście w ramach istniejących dostaw.

A producent?

ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI specjalizują się w produkcji mebli według projektu inż. arch. Czesława Kowalskiego. Do 1974 roku produkowano jeszcze meble do małych mieszkań. Obecnie produkują głównie meble typu „Łask" i „Nowa Łódź". Dziewięćdziesiąt procent produkcji ŁFM to produkcja specjalistyczna. ŁFM posiada swoje oddziały w Łodzi, Łasku, Pabianicach i Wieluniu. Każdy z nich specjalizuje się w produkcji innych elementów do mebli typu „Łask" czy „Nowa Łódź". Na przykład zakład w Wieluniu produkuje tylko szuflady. Dzięki temu mógł znacznie podnieść produkcję.

Fabryka w Łasku gotowa była w sierpniu 1972 roku. Produkcja ruszyła w maju 1973 roku. Planowano, że jej wartość wyniesie 185 milionów zł, a obecnie fabryka daje produkcję wartości 220 milionów zł. Będzie się rozbudowywała, a między innymi dla jej potrzeb buduje się w Wieruszowie fabrykę płyt wiórowych.

Fot. Włodzimierz Parys

Najwięcej trudności mają ŁFM z okuciami. Tutaj również sytuacja zmieni się, ale dopiero po wybudowaniu dwóch fabryk okuć do mebli. Na razie uzupełnia się braki dzięki kontaktom z producentami tego typu drobiazgów z innych przemysłów. Z pomocą dla ŁFM przyszło Zjednoczenie Przemysłu Artykułów Technicznych i Galanteryjnych w Łodzi za co wdzięczność należy się nie tylko ze strony przemysłu meblowego, ale i klientów.

ŁÓDZKIE FABRYKI MEBLI dają roczną produkcję wartości 520 milionów zł: Łask — 220 mln. i Łódź — 300 mln. Obok mebli produkują też obudowy dla aparatów telewizyjnych, szaf grających, kolumn głośnikowych, gramofonów. Ale stanowi to niewielką część produkcji fabryk. ŁFM należą do grona 6 największych producentów mebli w kraju. Dzięki rozbudowie fabryki w Łasku w najbliższych latach tylko ten jeden zakład ŁFM będzie dawał rocznie produkcję wartości około 400 mln. zł. W sumie ŁFM staną się jednym z potentatów produkujących meble na rynek krajowy. Wprowadzaniu nowej techniki towarzyszą usprawnienia organizacyjne, co gwarantuje pełne wykorzystywanie możliwości produkcyjnych fabryki.

Zaopatrzenie rynku w meble będzie się poprawiało stopniowo w miarę rozbudowy i unowocześniania przemysłu meblowego. Przemianom tym powinny również towarzyszyć usprawnienia w handlu meblami. Abyśmy, chcąc kupić meble do mieszkania, nie musieli chodzić godzinami, dniami i tygodniami po mieście i szukać tego, co nam w mieszkaniu niezbędne.

OBYCZAJE

KONRAD TUROWSKI

ZABILI CZŁOWIEKA!...

— Obudził mnie straszliwy jęk. Jeszcze teraz go słyszę jakby to wszystko zdarzyło się przed chwilą. Wciąż widzę obraz człowieka leżącego tam, pod płotem. Nie ruszał się...

44-letnia Teresa P. jest jedynym bezpośrednim świadkiem zbrodni popełnionej nad ranem 8 lutego br w Suchej Wsi odległej z górą 4 km od Radomska.

— Położyliśmy się spać ok. godziny 9 wieczorem, zaraz jak mąż wyszedł do fabryki na nocną zmianę — notuję jej słowa. **— W domu nie byłam sama. Córka z zięciem mieszkają na górze. Wzięłam do siebie 2-letniego wnuczka, aby w nocy nie musieli do niego wstawać. Spali twardo. Obudzili się jak przyjechało Pogotowie Ratunkowe...**

Gdy zerwałam się z łóżka i dobiegłam do okna odsłaniając firanki, w pierwszej chwili niczego nie zauważyłam — opowiada Teresa P. **— Na dworze było bardzo ciemno. Dziesięć lat temu, na 8 marca, założyli na drodze lampy, ale już od jesieni, akurat ta przed naszym domem, nie pali się. Mąż wszedł na słup, wymienił żarówkę, nic to nie dało. W elektrowni nie można się doprosić by przyjechali i naprawili...**

Stałam przy oknie usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności, gdy znów usłyszałam ten potworny, nieludzki jęk. Wtedy dopiero zobaczyłam, że pod naszym płotem leży człowiek, nogami zwrócony do drogi... Przeraziłam się ogromnie! Widziałam tego, który zabił! Oddalał się w kierunku wsi. Nie śpieszył się...

Ze strachu i zdenerwowania trzęsłam się jak w galarecie. Nie mogłam zebrać myśli. Biegałam po pokoju wołając — Jezus, Maria, zabili człowieka!...

Krzyk obudził 17-letniego syna, który spał w tym samym pokoju. Kazał matce uspokoić się i wrócić do łóżka. **— Strach nas paraliżował** — tłumaczy Teresa P. **— Teraz żałuję, że nie wyszłam na dwór, nie wzywałam pomocy sąsiadów. Może to by pomogło?!...**

— Minęło z 20 minut — dodaje po chwili Teresa P. **— jak zobaczyłam, że z ciemności wyłania się od strony wsi, migotliwe zrazu, ale szybko jaśniejące światełko. Zgasło przed naszym domem. To sąsiad, naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej, wracał z zabawy swoim „Komarkiem". W świetle reflektora zobaczył na drodze człowieka. Zatrzymał się. Zaraz nadeszli inni ludzie. Też wracali z zabawy. U naczelnika w domu jest telefon więc wezwali Pogotowie Ratunkowe. Nawet szybko przyjechała karetka...**

Była godz. 5,20 gdy w Stacji Pogotowia Ratunkowego w Radomsku przyjęto telefon z Suchej Wsi. Nieprzytomnego mężczyznę natychmiast przewieziono do szpitala, wprost na salę operacyjną. Niestety, nie zdołano utrzymać go przy życiu. O godz. 6,10 ranny zmarł...

21-letni Jan G., szczupły, wątłej budowy, wzrostu 1,60 m, miał zmasakrowaną głowę. Kości czaszki w wielu miejscach były połamane. Twarz zmieniła się w jedną wielką ranę, z której wypłynęły oczy. Podniebienie zostało wgniecione aż do mózgu. Wszystkie zęby miał wybite...

Był robotnikiem w Hucie Szkła Gospodarczego w Radomsku. Wychowała go matka. Ojciec odszedł, gdy miał trzy lata. Zostawił żonę w siódmym miesiącu ciąży. Nie interesował się ich losem. Powiadomiony telegraficznie o śmierci syna przyjechał na jego grób, nazajutrz po pogrzebie. Nie wiedział, że w październiku zeszłego roku minęły dwa lata jak Janek się ożenił. Wziął pannę ze Stobiecka. Też z biednej rodziny. Znalazł się dla nich kąt w ciasnym mieszkaniu matki w Folwarkach, które ze wsi przemieniły się już w przedmieście przeszło 30-tysięcznego Radomska.

W ostatnią sobotę karnawału Jan G. poszedł do Huty na popołudniową zmianę. Nie spodziewał się, że tego dnia będzie wypłata. A może chciał zrobić żonie niespodziankę? Zawsze bowiem w dni wypłat umawiał się, że po niego przyjdzie. 8 lutego nic nie powiedział. Obiecał wrócić do domu prosto z pracy, którą kończył o godzinie 18...

Wyszedł z Huty z dwoma kolegami. Miał przy sobie 1700 zł wypłaty i 250 zł premii. Wstąpili na jedną wódkę. Przy kieliszku szybko jednak zapomnieli o swoich obowiązkach rodzinnych. Był już późny wieczór, gdy wsiedli do taksówki i kazali się zawieźć do Suchej Wsi, na ostatnią w tym karnawale zabawę taneczną w remizie miejscowej OSP...

Dalszy ciąg na str. 6

OBYCZAJE

ZABILI CZŁOWIEKA!...

Dalszy ciąg ze str. 5

Nie można powiedzieć, że Jan G. wesoło się bawił. Koło północy tak zmorzył go sen, że zwalił się na drewnianej ławie pod ścianą, nie zważając na tańczących i orkiestrę wygrywającą na dętych instrumentach jak najgłośniej najmodniejsze przeboje z „moja droga, ja cię kocham" powtarzanym najczęściej.

Nie zwracano na niego uwagi. Zabawa trwała w najlepsze. Dochodziła druga w nocy jak do bufetowej podszedł jakiś młodzian zataczając się, w ubraniu pokrwawionym z rozciętego policzka. Mówi, że go nie poznała bo taki był zmieniony. Nikt zresztą się nim nie przejął. Przecież bójki na zabawach stały się zjawiskiem nieodłącznym. Mówią nawet — **„Iii, co to za zabawa skoro nawet nie pobili się porządnie..."**

Około 4 nad ranem w Suchej Wsi przestała grać orkiestra. Sala szybko opustoszała. Tylko Jan G. jeszcze spał

Fot. K. Turowski

na ławie. Organizatorzy go nie budzili. Zostali, by podsumować wyniki imprezy. Zadowoleni byli. Zabawa się udała — mieli pokaźny dochód w kasie, w bufecie nic nie zostało — wszystką wódkę i zakąski sprzedano...

Zajęci sobą i swoimi sprawami nie zauważyli jak Jan G. się przebudził. Podszedł do nich. Sprawiał wrażenie najzupełniej trzeźwego. Zorientował się, że już po zabawie. Powiedział grzecznie „dobranoc" i wyszedł kierując się w stronę Folwarków...

Był już na skraju Suchej Wsi. W tym miejscu domy stoją tylko po jednej stronie drogi. Po przeciwnej rosną drzewa odgradzające drogę od zamarzniętego stawu. Na jednym z nich wisi starannie utrzymana kapliczka z czerwoną żarówką, która się bez przerwy świeci. Właśnie Jan G. przechodził obok tego drzewa z kapliczką, gdy z ciemności padło pytanie skierowane do niego:

— Miastok jesteś czy Folwarczok?

Nim zdążył odpowiedzieć zdzielony został przez głowę sztachetą wyrwaną z płotu. Po pierwszym ciosie posypały się następne. Były zadawane z taką zaciekłością, że jeden kołek aż się w drzazgi połamał. Znaleziono je w przydrożnym rowie w kałuży krwi. Skrupulatnie zebrano i zabezpieczono jako dowód rzeczowy. Odnaleziono też świeże wyrwy w płotach powstałe krytycznej nocy na skutek oderwania sążnistych kołków i sztachet...

Napadnięty próbował się ratować. Nikt jednak nie słyszał jego wołania o pomoc. Przebiegł nie więcej niż 10 metrów, gdy zamroczony kolejnym ciosem padł pod płotem zabudowań Teresy P. Tu dopełniła się reszta...

11 lutego o godz. 14,45 na Nowym Cmentarzu w Radomsku pochowano 21-letniego Jana G., w piątej alei, za krzyżem, na lewo. W kondukcie pogrzebowym, tuż za trumną, szła jego żona. Za miesiąc spodziewa się dziecka...

— Takiego co to zrobił należałoby tylko powiesić albo ciąć na kawałki i sypać solą — mówiła w porywie oburzenia, wstrząśnięta jak inni dokonaną zbrodnią, jedna z mieszkanek Nowej Wsi. Gdy to mówiła nie wiedziała, że jest bliską krewną sprawcy zabójstwa...

Pod zarzutem dokonania zbrodni zatrzymano 24-letniego Jana S. Ustalono, że to on zadawał śmiertelne ciosy. Zaczął się przy drodze jeszcze z dwoma innymi mieszkańcami Suchej Wsi. Ci dwaj jednak nie chcieli bić Jana G. Usiłował więc ich nakłonić. Rzucił się na nich uzbrojony w sztachetę, ale zdążyli uciec.

Jan S. mieszkał z rodzicami w drewnianej chacie wyróżniającej się na tle dostatnich, murowanych i w większości jednopiętrowych zabudowań Suchej Wsi. Jego starszy brat założył już własną rodzinę a młodszy jeszcze chodzi do szkoły. Choć Jan S. dość dawno wrócił z wojska dotąd się nie ożenił. Pracował w fabryce w Radomsku. We wsi nie cieszył się najlepszą opinią. Lubił zaglądać do kieliszka, nie stronił od awantur i bijatyk.

Dlaczego napadł na Jana G?

— Bo on był Folwarczak — odpowiedział z takim spokojem i przekonaniem jakby to miało w zupełności usprawiedliwić jego zbrodniczy czyn.

Waśnie „Suchowsioków" i „Folwarczaków" sięgają dawnych czasów. Jeszcze przed wojną mieszkańcy Suchej Wsi nazywali pogardliwie swoich sąsiadów z Folwarków „guziczarzami". Przezwisko wzięło się stąd, że chłopaki z Folwarków obcinali wszystkie guziki każdemu złapanemu z innej wsi rówieśnikowi, który ośmielał się przychodzić w konkury do ich panien. Wystawianie na pośmiewisko nie mogło być jednak zbyt wielką przeszkodą skoro kilku kawalerów z Suchej Wsi ożeniło się z Folwarczankami a kilku kawalerów z Folwarków wzięło za żony panny z Suchej Wsi. W obu wsiach mieszkają takie małżeństwa, mają dzieci, przykładnie gospodarzą i nie wytyka się ich palcami. Ale wzajemne niechęci wciąż trwają między młodymi. Do bójek już nie raz dochodziło, gdy „Suchowsioki" zjawiali się na zabawie w remizie OSP w Folwarkach albo „Folwarczaki" w Suchej Wsi...

* * *

Zabójstwo Jana G. w Suchej Wsi było trzecią tej kategorii zbrodnią popełnioną w minionym karnawale w powiecie radomszczańskim. Wcześniej, w Babczewie, na zabawie zorganizowanej przez Koło Gospodyń Wiejskich, zabity został 19-letni Jan P. Był mieszkańcem wsi Goszczowa. Pod zarzutem dokonania zabójstwa aresztowano czterech mieszkańców wsi Kobiele. Najmłodszy z nich ma 19 a najstarszy 22 lata. Do bójki, w której zginął Jan P. doszło na tle antagonizmu między młodymi z Kobiel i Goszczowej...

Podobne motywy doprowadziły też do zabójstwa w Stobiecku Miejskim 24-letniego tokarza z Radomska, ojca dwuletniego dziecka...

Region radomszczański wiedzie w woj. łódzkim smutny prym pod względem ilości zdarzających się tu awantur i bijatyk. W 1973 roku zanotowano w powiecie aż 24 rozboje. Aresztowano wtedy 25 osób. Komenda Powiatowa MO w Radomsku alarmowała władze administracyjne:

„Organizatorzy zabaw nie wywiązują się ze swoich obowiązków w sposób dostateczny. Niejednokrotnie sami wprowadzają się w stan nietrzeźwości. W bufetach podaje się bez ograniczenia alkohol nietrzeźwym i nieletnim..."

Żądanie, by bardziej wnikliwie niż dotychczas rozpatrywano wnioski o zezwolenia na organizowanie wiejskich zabaw pozostało bez echa. Posterunki MO dowiadują się o zabawach dopiero wówczas, gdy już nie można się obejść bez wezwania milicji. Tak było m.in. w Babczewie, gdzie zginął Jan P...

W ostatnich tygodniach dwukrotnie, na zabawach w Popielarni i w Zawadzie, zdarzyły się wypadki rozwydrzonej napaści na funkcjonariuszy MO, którzy w pojedynkę, patrolując teren, podejmowali interwencję próbując zażegnać bójki. Aresztowano sześciu sprawców ciężkiego pobicia milicjantów — młodego, który przed kilkoma miesiącami podjął pracę i 45-letniego, przykładnego męża i ojca, poważanego i cieszącego się zasłużonym autorytetem...

Ponury jest plon tegorocznego karnawału w powiecie radomszczańskim. [illegible] wsiach zapanował spokój. Jest dość czasu by zastanowić się nad podjęciem takich decyzji, które skutecznie zatamują tragiczną statystykę zabójstw w strażackich remizach i gospodach.

KONRAD TUROWSKI

ŁÓDŹ — spojrzenie z dystansu

HOTEL „SAVOY"

JAN BĄBIŃSKI

DIETMAR GRIESER — to krytyk literacki, który jeździ po całej Europie śladami co bardziej wybitnych pisarzy austriackich. Zbiera materiały do książki „Sceny austriackiej twórczości". Pragnie dzieło osadzić we współczesnych realiach a zarazem wczuć się w atmosferę tych dawnych lat. W swych wędrówkach po tym kontynencie wiedeńczyk zahaczył również o Łódź. Nie mógł przecież w swej książce pominąć Józefa Rotha, który w Łodzi umiejscowił akcję głośnej ongiś powieści „Hotel Savoy".

Kim był Józef Roth?

To jeden z największych pisarzy austriackich międzywojennego okresu. Urodził się w Brodach, we wschodniej Galicji. Tu spędził najwcześniejszą młodość. Jego dzieła są w jakiejś mierze kontynuacją realizmu psychologicznego wielkich prozaików rosyjskich i francuskich. Są całe przesiąknięte atmosferą żydowskich środowisk w niewielkich miasteczkach na tej najdalszej galicyjskiej prowincji. Pierwszym utworem Rotha był właśnie **„Hotel Savoy"**. Jego następne powieści „Marsz Radetzky'ego", „Krypta Kapucynów" i „Ucieczka bez Kresu" zostały przetłumaczone na wiele języków i zapewniły mu szeroki rozgłos.

„Hotel Savoy", tytuł tej książki mówi już wiele. Lecz nie mówi wszystkiego, więc spieszę wyjaśnić, że bohaterem tej powieści jest Gabriel Dan, żołnierz austriacki, który w drodze z niewoli rosyjskiej zatrzymuje się w Łodzi korzystając ze wsparcia bogatych krewnych, Dan zamieszkuje w hotelu „Savoy", tym samym, który po dziś dzień stoi przy Traugutta i po dawnemu zadziwia swym ogromem. Roth zaludnił to ciężkie hotelowe gmaszysko niezwykle barwnymi postaciami. W jednym korytarzu, drzwi niejako w drzwi, mieszka w „Savoy'u fryzjer i astrolog, cyrkowy klown i tancerka, handlarz starzyzną i zawodowy rewolucjonista. Dan podejmuje pracę zarobkową, staje się osobistym sekretarzem wielkiego Henry Bloomfielda, amerykańskiego miliardera. Bloomfield zajrzał do Łodzi nie w interesach tylko po to jedynie, by złożyć wieniec na grobie Jechiela Blumenfielda, swego ojca, w podzięce za odziedziczony spryt, inteligencję, uzdolenienia i talent, dzięki czemu życie oszczędziło mu gorzkich upokorzeń. Miliarderowi nie było jednak dane zatrzymać się w Łodzi dłużej niż kilka zaledwie dni. Swój pobyt Bloomfield kończy przedwcześnie i dość nieoczekiwanie. Ucieka z Łodzi w obawie przed rewolucyjnymi robotnikami, którzy istotnie w pierwszym już szturmie opanowują także hotel „Savoy".

Józef Roth tak opisuje Łódź z lat międzywojennych:

„Wieczorem miasto wyglądało dużo przyjaźniej niż za dnia. Przed południem było szare i nieprzyjemne, ulicami kłębił się czarny dym fabryczny, brudni żebracy kucali na każdym rogu na zgiętych kolanach, chodniki zapchane były śmieciami i cuchnącymi odpadkami. Wieczorem ciemności ukrywały wszystko, brud, występek, choroby i nędzę..."

Krytyk literacki **Dietmar Grieser** wybrał się do tej współczesnej już Łodzi. Co w mieście zobaczył, opisał w dużym reportażu zamieszczonym w dodatku literackim zachodniego **„Frankfurter Allgemeine Zeitung"**. Już na wstępie reportażu Grieser zaznacza:

„Łódź? Nie, to niemożliwe. Czy pan naprawdę wybiera się do Łodzi tego najbrzydszego ze wszystkich miast polski? Na każdym kroku ostrzegano mnie przed Łodzią. Usiłował wybić mi Łódź z głowy syn wiedeńskiego pastora, którego dziadkowie prowadzili przy Piotrkowskiej okazałą cukiernię, przestrzegała mnie przed Łodzią pewna aktorka, która swego czasu występowała na scenie Poznania. Do akcji zniweczenia mych zamiarów wiązało się nawet biuro podróży „Orbis", choć przy użyciu nieco subtelniejszych metod. Sympatyczne i miłe dziewczę z wiedeńskiej filii „Orbisu" wyperswadowywało, ależ na litość boską cóż pan chce robić akurat w Łodzi? Błagam pana, niech pan jedzie gdzie indziej. Może by pan wybrał Kraków, może powiedzmy Gdańsk, bardzo bym polecała wysokie Tatry, ale Łódź? Przecież tam nic nie ma prócz sadzy, dymu i fabrycznych kominów... Dziewczę uparło się aby wszelkimi sposobami skłonić mnie do zmiany decyzji. Prospekty reklamowe o Łodzi? O nie, proszę pana, takich prospektów nie mamy i długo jeszcze mieć nie będziemy, bardzo mi doprawdy przykro... W końcu zrozumiałem co dziewczę miało na myśli, które będąc na etacie państwowego „Orbisu" nie mogło mi wszak wypalić prosto w twarz, zrozum wreszcie uparciuchu, że do Łodzi turyści nie jeżdżą. Można by się z tym pogodzić, że do tego miasta, które jest wielkim ośrodkiem przemysłowym, wybiera się inżynier albo bawełniany hurtownik, ale turysta? Do tego jeszcze turysta o humanistycznych raczej zamiłowaniach? Nie, tego już za wiele..."

Grieser pisze dalej:

„Przed wyjazdem przeglądałem stosy bibliotecznych katalogów. Szukałem książek o Łodzi. Wreszcie mój wzrok padł na dzieło „Łódź — Ziemia obiecana". Jej autor, Władysław Reymont otrzymał w 1924 r. nagrodę Nobla. Właściwie powinienem był znać już pierwej jego powieści. Niestety, nie znałem, skorzystałem przeto z nadarzającej się sposobności, by zaległości na tym polu możliwie szybko nadrobić. Miałem nadzieję, że przynajmniej z ust laureata nagrody Nobla usłyszę coś, co mnie zachęci do odwiedzenia Łodzi. Masz tobie, Reymont również nie miał zbyt wiele dobrego do powiedzenia o tym mieście i o samych też mieszkańcach tego przemysłowego ośrodka. Przecież napisał, nikt z nas nie chciałby pozostać w tym mieście na zawsze. Ja również nie miałem tego zamiaru ciągnie Grieser — byłem przeświadczony, że trzy dni wystarczą w zupełności, by przebadać scenę, na której toczyła się akcja powieści Rotha pt. „Hotel Savoy".

W dalszych partiach reportażu pisze Grieser o współczesnej Łodzi ze wzrastającą melancholią i ze sporym też sentymentem. Zatrzymuje się dłużej przy hotelu „Savoy". Budynek niby ten sam co w latach międzywojennych, wyrasta jak ongiś nad otoczeniem swą ogromną i majestatyczną bryłą. Jednak ludzie w nim już inni. Grieser nie zastał w hotelu Stasi, owej tancerki z powieści Rotha, nie zastał cyrkowców, fabrykanta Fischa, który haniebnie zbankrutował, ani nikogo z tych ciemnych i podejrzanych też typów oraz ponurych osobników, którzy „Savoy" kiedyś zamieszkiwali. Grieser wspomniał z lezką w oku, że ów narodowościowy tygiel, owa przedziwna mieszanina ras i narodów, z której jeszcze niedawno Łódź tak słynęła, należy już tylko do wspomnień i należy do historii. To właśnie dziwność tego miasta sprawiła, że hotel „Savoy" tak bardzo utkwił Rothowi w pamięci. Równie dobrze mógłby przecież opisać te inne wspaniałe i kosmopolityczne hotele, w których przebywał nie raz. Mógłby umiejscowić swą powieść w hotelu „Eden" w Amsterdamie, „Imperial" w Wiedniu czy w „Foyot" w Paryżu. Wybrał jednak hotel „Savoy" w Łodzi.

Jakie wrażenie wywarła na Grieserze zwarta miejska masa tej dzisiejszej Łodzi? Co go uderzyło w wąwozach ubiegłowiecznych czynszówek i szacownych też wielce kamienic, które czas zdążył mocno już ponadgryzać?

Griser wspomina:

„Na bilecie kolejowym tkwił złowieszczy napis, Łódź Fabryczna. Byłem więc przygotowany na najgorsze. Tylko, że albo Polacy wysłali czyścicieli i zamiataczy ulic na kurs dla kosmetyczek, czy może sam byłem tego dnia w takim nastroju, kiedy to świat widzi się na różowo, dość, że dworzec, który nosił wybitnie zniechęcającą nazwę jaśniał czystością i był w swej staroświeckczyźnie nad wyraz uroczy. Pamiętam maleńki park Moniuszki tuż przy dworcu. Doprawdy, nigdzie w świecie nie słyszałem tak radośnie ogłuszającego świergotu takich chmur rozkrzyczanego ptactwa, jakie nad tym parkiem bez przerwy się unosiły".

Grieser pisze o Piotrkowskiej:

„Ulica Piotrkowska słynna jest ze swej rekordowej długości, także z mieszaniny najrozmaitszych stylów. Miłe były na niej wieczorne światła, długie rzędy wysokich drzew, których tu jeszcze nie położono na ołtarzu molocha motoryzacji. Jaśniały blaskiem wystawy sklepowe, pyszniło się jakże mi swojskie zdobnictwo fasadowe w stylu tych grinderowskich czasów i secesji, wciąż pełne powagi i niezachwianej pewności siebie. Doprawdy, kiedy spoglądałem na tę ulicę żadnego nie odczuwałem powodu, by uznać ją za brzydką i odpychającą. Tkwi jakiś urok w architekturze wszystkich tych przemysłowych miast, które wszystkie jak Łódź przeżywały ongiś lata prawdziwej gorączki złota. Zalatuje jakimś czarem z tych rezydencji i pałaców poprzerabianych dziś na urzędy, muzea i szkoły. Pachnie czymś głęboko ludzkim z tych przycupniętych do samej ziemi starych domków ręcznych jeszcze tkaczy. W tych budowlach zaklęty jest spory kawał społecznej historii tego kraju. Bardziej w każdym razie autentyczne i prawdziwe są te budowle niż na pewno cudownie odrestaurowane warszawskie Stare Miasto".

Grieser dodaje z zadumą:

„...a w to wszystko wdzierają się teraz symbole tej nowej Polski, symbole ze stali i betonu..."

To wysokościowce, które nacierają na zmurszałe już śródmieście od strony Głównej i Traugutta. Grieser je zauważył. To jasne. Wielu z nas, starych łodzian dręczy niepokój i nie możemy się opędzić myśli, że choć Łódź się zmienia to jednak idzie to jak z kamienia i te zmiany niezbyt w centrum rzucają się w oczy. Wydaje się nam niekiedy, że jeden dzień denerwująco jest podobny do drugiego, że czas jakby stanął w miejscu, a tych ważniejszych budowli uczepiło się kilku na raz żółwi. Widocznie, żeby dostrzec te zmiany trzeba mieć do nich dystans w czasie.

Dietmar Grieser miał ten dystans. Powieść Józefa Rotha „Hotel Savoy" ukazała się nakładem berlińskiego wydawnictwa „Schmiede" w 1924 r. Roth tak pisał wtedy o „Savoy'u":

— „Hotel jest pałacem i jest też więzieniem. Na tych dolnych piętrach mieszkają w przestronnych i widnych apartamentach bogacze... Na tych górnych piętrach mieszkają życiowe rozbitki, którzy stanęli na skraju nędzy i nie mają już czym za hotel zapłacić".

Fot. Włodzimierz Parys

Grieser szukał właśnie tej dawnej Łodzi, którą zapamiętał i uwiecznił Roth. Grieser szukał miasta z powieści... i nie znalazł. Rozglądał się za Łodzią swych wyobrażeń, którą Roth nazwał „gottverdamte Stadt", miastem przez boga przeklętym. Węszył za miastem brudnym, cuchnącym, niemożliwie zatłoczonym, przypominającym w wielu dzielnicach orientalne bazary. Próżny trud, tej Łodzi nie ma, pisze Grieser, zapadła się w bezpowrotną przeszłość i należy już tylko do historii.

Przypomniał nam o niej swym wyostrzonym przez dystans spojrzeniem Dietmar Grieser, żaden polityk ani ekonomista, tylko krytyk literacki.

JAN POWAŁA

BITWA O WAŁ POMORSKI

Po wyzwoleniu Warszawy 17 stycznia 1945 r., 1 armia WP otrzymała od marszałka G. Żukowa rozkaz wykonania działań pościgowych za nieprzyjacielem na kierunku Warszawa-Bydgoszcz w celu zabezpieczenia prawego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego, którego wojska w niezwykle szybkim tempie nacierały w kierunku Berlina. Wykonując zadanie postawione przez dowódcę 1 Frontu Białoruskiego, jednostki naszej armii w szybkim tempie i w trudnych warunkach atmosferycznych pokonały wielkie przestrzenie, w okresie od 18 do 28 stycznia posunęły się o około 300 km, osłaniając skutecznie działanie wojsk radzieckich na głównym kierunku uderzenia i wyzwalając dziesiątki polskich miast i osiedli.

ZADANIE

28 stycznia 1945 r. dowódca **1 armii WP** gen. St. Popławski otrzymał od marsz. Żukowa rozkaz, w myśl którego 1 armia miała od rana 29 stycznia przejść do działań zaczepnych w ogólnym kierunku na **Wielowicz, Zakrzewo, Jastrowie, Ilowiec, Pożrzadło Wielkie, Suchań, Widuchowa.** Pas natarcia 1 armii wynosił 15 km. Prawym sąsiadem polskiej armii był 2 korpus kawalerii gwardii, lewym zaś związki taktyczne 47 armii. Głównym zadaniem 1 armii było likwidowanie oporu nieprzyjaciela w swoim pasie natarcia i wspólnie z sąsiadami — osłonięcie prawego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego przed prawdopodobnymi uderzeniami wojsk niemieckich z północy. W pasie natarcia 1 armii znajdowały się umocnienia Wału Pomorskiego. Zasadniczą rolę w umocnieniach na Wale Pomorskim spełniała pozycja główna, której rdzeń stanowiły schrony żelbetonowe różnych typów zbudowane w latach 1934—1935. Ogółem w pasie natarcia naszej armii znajdowało się 37 takich schronów. Wartość obrony niemieckiej na głównej pozycji podnosił łańcuch jezior, które stanowiły trudne do pokonania przeszkody naturalne. Przesmyki między jeziorami o szerokości od 200 do 1000 m dowództwo niemieckie umiejętnie wykorzystało na budowę schronów oraz organizację systemu ognia. Wszystkie miejscowości, a szczególnie **Jastrowie** i **Podgaje** Niemcy zamienili w silne punkty oporu.

PRZECIWNIK

Niemiecką obronę organizowała 15 dywizja SS „Lettland" oraz szereg samodzielnych pododdziałów. Dowódcy 15 dywizji SS „Lettland" podporządkowana została również 180-osobowa grupa pułkowa „Rhode", która po walkach w Bydgoszczy wycofała się w rejon Jastrowia.

Na północny zachód od **Jastrowia** i w rejonie **Podgajów** broniła się grupa bojowa „Elster", licząca około 400 ludzi. Ponadto w rejonie **Jastrowia** znajdowała się grupa bojowa „Joachim" oraz grupa bojowa „Pfennig". Główny trzon sił niemieckich na pozycji głównej Wału Pomorskiego stanowiła grupa dywizyjna „Ernest", zorganizowana w styczniu z podchorążych 2 oficerskiej szkoły artylerii w Bornem. Ponadto w pasie natarcia 1 armii znajdowały się inne oddziały i mniejsze grupy.

Omawiane siły niemieckie wraz z dywizją „Bärwalde" i 402 zapasową dywizją piechoty — wchodziły w skład 10 korpusu SS, dowodzonego przez gen. Günthera von Krappe.

WALKA

Pierwsze walki naszej armii na Wale Pomorskim rozpoczęły się wieczorem 30 stycznia 1945. Pod koniec tego dnia dotarł do **Złotowa** 11 pułk piechoty płka W. Kondratowicza i napotkał w mieście silną obronę nieprzyjaciela. Niemcy od samego początku stawiali twardy opór, walka miała bardzo zacięty charakter: wśród żołnierzy polskich byli zabici i ranni.

W godzinach wieczornych 30 stycznia do rejonu walk przybył dowódca 4 dywizji piechoty gen. B. Kieniewicz i zatwierdził decyzję płka Kondratowicza do prowadzenia walki w nocy. Treść decyzji sprowadzała się do tego, że 11 pułk piechoty miał natarciem nocnym złamać opór przeciwnika i do rana 31 stycznia opanować **Złotów.**

Walki o **Złotów** trwały całą noc i miały krwawy przebieg. Do godziny 9.00 31 stycznia 1945 r. opór Niemców w **Złotowie** został złamany, miasto zostało całkowicie opanowane. Straty nieprzyjaciela wynosiły: około 300 zabitych i 70 wziętych do niewoli. Wśród żołnierzy 11 pułku poległo 90, a 112 zostało rannych. W walce o Złotów żołnierze polscy wykazali męstwo, odwagę i poświęcenie. Bohaterem walk stał się zastępca dowódcy plutonu do spraw polityczno-wychowawczych z 1 kompanii ciężkich karabinów maszynowych plut. M. Robak, który do ostatniej chwili swego życia wytrwale osłaniał ogniem natarcie żołnierzy 2 batalionu na zaciekle bronione przez Niemców most przy podejściach do miasta.

Po zdobyciu Złotowa 4 dywizja piechoty kontynuowała natarcie w kierunku głównej pozycji Wału Pomorskiego, napotykając kolejny punkt oporu nieprzyjaciela w **Jastrowiu.** Miasto to, ze względu na swoje położenie jako ważny węzeł komunikacyjny, było bardzo trudne do zdobycia. Wartości obrony miasta podnosił fakt, iż posiadało ono zwarte, murowane zabudowania, położone znacznie wyżej w stosunku do szerokiej doliny Gwdy. Nieprzyjaciel wykorzystał te warunki i zorganizował obronę okrężną.

W skład sił niemieckich w **Jastrowiu** wchodziły grupy bojowe „Rhode", „Joachim", „Pfennig" oraz jeden batalion 15 dywizji SS „Lettland".

Podjęte od rana 2 lutego 1945 r. walki o **Jastrowie,** prowadzone przez 10 pułk piechoty płka W. Potapowicza były bardzo zacięte. Nieprzyjaciel poniósł dotkliwe straty. Wynosiły one około 350 zabitych i rannych, 52 dostało się do niewoli. Niemcy stracili także wiele sprzętu bojowego. Duże straty poniósł także 10 pułk piechoty: 67 zabitych, 215 rannych i 15 zaginionych bez wieści.

W tym czasie, gdy żołnierze 4 dywizji walczyli o **Jastrowie,** jednostki 1 dywizji piechoty prowadziły krwawe walki o **Podgaje.** Bój o tę miejscowość stanowił jedną z najcięższych bitew, jakie na swym chlubnym szlaku bojowym stoczyli Kościuszkowcy. Próby zdobycia wioski z marszu nie przyniosły rezultatu. Liczne ataki, ponawiane przez pułki 1 dywizji w dniach 1 i 2 lutego, również nie przyniosły powodzenia. Dopiero po podciągnięciu artylerii i dowiezieniu amunicji, 3 lutego po zaciętych i krwawych walkach **Podgaje** zostały zdobyte. Zdobycie Podgajów jednostki 1 Dywizji im. T. Kościuszki okupiły dużymi stratami. Poległo 24 oficerów oraz 209 podoficerów i szeregowców, 510 żołnierzy zostało rannych, a 58 zaginęło bez wieści. Straty niemieckie wynosiły ponad 3500 zabitych i rannych. Niemcy stracili ponadto znaczne ilości uzbrojenia i sprzętu wojennego.

W **Podgajach** hitlerowcy dopuścili się straszliwej zbrodni na polskich żołnierzach. Po wzięciu do niewoli 4 kompanii ppor. A. Sofki z 3 pułku piechoty, 31 żołnierzy polskich Niemcy powiązali drutem kolczastym, potem zamknęli w stodole, polali benzyną i spalili. Była to zbrodnia wojenna, stanowiąca jaskrawy przykład brutalnego pogwałcenia prawa międzynarodowego, gwarantującego ochronę jeńców wojennych.

Fot. Archiwum

WAŁ POMORSKI

W czasie trwania walk o **Jastrowie** i **Podgaje,** główne siły 4 dywizji piechoty, po złamaniu oporu nieprzyjaciela w miejscowości Szwecja, zbliżyły się do głównej pozycji **Wału Pomorskiego.** Jako pierwszy dotarł 12 pułk piechoty płka D. Warlończyka, napotykając silną obronę nieprzyjaciela między jeziorami **Zdbiczno, Smolno** oraz **Smolno Lubianka.** Na podstawie informacji przekazanych przez jednostki radzieckie oraz własnego rozpoznania nieprzyjaciela, dowództwo 4 dywizji zorientowało się, że siły główne dywizji podeszły do rubieży, na której Niemcy zorganizowali trwałą obronę. 4 lutego o godz. 17,00 2 i 3 bataliony 11 pułku piechoty uderzyły na północ od **jeziora Dobre.** Natarcie to nie przyniosło powodzenia, chociaż w ocenie dowódcy 4 dywizji miejsce na północ od jeziora Dobre miało być najsłabsze w obronie niemieckiej. Atak naszych żołnierzy został załamany silnym ogniem broni maszynowej i moździerzy nieprzyjaciela.

5 lutego o godz. 9,00 po 10-minutowej nawale ogniowej bataliony 11 pułku wznowiły natarcie na północ od **jeziora Dobre** i umiejętnie wykorzystując zamarznięty, podmokły teren, przełamały obronę nieprzyjaciela na odcinku 1 km. W ten sposób jednostki 4 dywizji dokonały pierwszego wyłomu w głównej pozycji Wału Pomorskiego. 6 lutego w walce o przełamanie pozycji głównej, jednostki 6 dywizji piechoty zdobyły Nadarzyce.

W dokonanym wyłomie żołnierze 4 dywizji piechoty prowadzili zacięte i krwawe walki. Niemcy chcieli za wszelką cenę zlikwidować powstały wyłom w głównej pozycji **Wału Pomorskiego.** Dochodziło niejednokrotnie do walki wręcz, w której żołnierze polscy wykazali odwagę, męstwo i poświęcenie. Walki toczyły się o każdy punkt, a nawet o pojedyncze drzewa. Niemcy dopuszczali się wobec naszych żołnierzy potwornych zbrodni, mordując ich w okrutny sposób i dobijając rannych.

W nocy z 5 na 6 lutego została przełamana pozycja główna **Wału Pomorskiego** o szerokości około 3,5 km oraz głębokości około 3 km. Gen. St. Popławski wykorzystał sukces odniesiony przez 4 dywizję piechoty i w powstały wyłom wprowadził główne siły 1 armii.

Ciężką bitwę na **Wale Pomorskim** stoczyli żołnierze 1 armii WP o **Mirosławiec,** który był ostatnim bastionem w systemie obrony nieprzyjaciela na pozycji głównej. Niemcy przygotowali miasto do długotrwałej obrony, wykorzystując wszelkie warunki, włącznie z wykorzystaniem lotnictwa bombowego i myśliwsko-szturmowego, bazującego na pobliskim lotnisku. Główną rolę w zdobyciu **Mirosławca** odegrały jednostki 1 i 2 dywizji piechoty oraz czołgiści 1 brygady pancernej, 4 pułku czołgów ciężkich i jednostek artylerii. W wyniku uderzenia tych sił opór wojsk niemieckich w **Mirosławcu** został złamany. 10 lutego miasto było wolne. W bitwie o **Mirosławiec** poległo 150 żołnierzy polskich, a ponad 350 odniosło rany. Straty niemieckie wynosiły 2000 zabitych i rannych. **Zdobyciem Mirosławca 1 armia WP zakończyła przełamywanie głównej pozycji Wału Pomorskiego.**

TADEUSZ SZEWERA

PIEŚŃ IKARÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Pod wpływem tej informacji przypomniałem sobie znak, malowany na samolotach sławnego Dywizjonu 303. Ależ tak! Przecież Dywizjon nosił również imię Naczelnika Insurekcji! A więc był spadkobiercą tradycji przedwojennej 111 Eskadry Myśliwskiej, wchodzącej w skład 1 Pułku Lotniczego, stacjonującego na Okęciu w Warszawie. Nazywano ich przecież, Tych z Dywizjonu 303, Kosynierami Warszawy!

I jeszcze jedną notatkę miałem w kieszeni. Był to wypis z literackiej opowieści Janusza Meissnera **„Pilot gwiaździstego znaku"** („Iskry", W-wa 1970), poświęconej pamięci Stanisława Latwisa. Jest to oczywiście życiorys zbeletryzowany, wzbogacony o literacką fikcję, ale sporo w nim wiarygodnych faktów i szczegółów z biografii tragicznego lotnika. Pisarz kreśli tam barwny obraz imieninowego spotkania u Stacha na lotnisku w Dęblinie, gdzie był on instruktorem w Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa. W tym uroczystym dla siebie dniu zasiadł do fortepianu i — jak stwierdza pisarz — popłynęły dźwięki jego wspaniałego **„Marsza"**. „Lotnik, skrzydlaty władca świata bez granic...".

Uzbrojony w taką oto dokumentację szedłem z nowoczesnego kieleckiego dworca w kierunku Placu Partyzantów, gdzie mieści się Muzeum Świętokrzyskie.

Pani **Aleksandry Dobrowolskiej** nie zastałem, biegała po mieście załatwiając jakieś sprawy związane z urządzaniem galerii malarstwa w komnatach zamkowych. Sympatyczna portierka, która jednocześnie rejestrowała wycieczki, pobierała od nich opłaty i obsługiwała centralkę telefoniczną, starała się mi pomóc, dzwoniąc do różnych instytucji. Trwało to dosyć długo, ale wreszcie udało się. Aleksandra Dobrowolska była zaskoczona moją wizytą.

• • •

Aleksandra Dobrowolska mieszka w starej czynszowej kamienicy. Siedzimy w ogromnym, niestety strasznie zimnym pokoju. To pracownia domowa pani Aleksandry. Pokój sprawia wrażenie muzeum. Antyczne meble, ściany zastawione regałami z setkami książek, na półeczkach, stolikach i stoliczkach moc przeróżnych figurek; dzieła ludowych rzeźbiarzy. Między regałami, na wolnych skrawkach ścian, portrety rodu.

Autorka tekstu **„Marsza lotników"** urodziła się w 1906 roku w Książu Wielkim, w pow. miechowskim. Ojciec był lekarzem, matka pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Dobre warunki materialne sprzyjały kształceniu się, przeto po maturze (była uczennicą gimnazjum im. Królowej Kingi w Kielcach) wyjechała na studia do Warszawy. Zapisała się na wydział polonistyczny UW u prof. Józefa Ujejskiego. Dyplom uzyskała w 1933 roku, znacznie później wyszła za mąż za inż. Krzysztofa Dobrowolskiego, znanego wówczas konstruktora samolotów.

— Wtedy byłam szaloną entuzjastką lotnictwa!

Już w czasie studiów publikowała artykuły z historii „polskich Ikarów" na łamach warszawskich gazet. Po uzyskaniu dyplomu objęła posadę pedagoga w warszawskim II Liceum Miejskim im. Jana Kochanowskiego i z miejsca przystąpiła do organizowania szkolnych kół Ligi Obrony Powietrznej Państwa. Wygłaszała w Radio pogadanki na ten temat, ogłosiła również drukiem komedyjkę lotniczą dla młodzieży. Pisała też wiersze. Początkowo sygnowała je pseudonimem **„Agnez"**. Kiedy powiedziano jej, że te wiersze są zupełnie niezłe, zaczęła drukować je pod własnym nazwiskiem. Znała już wtedy Stacha Latwisa, poznała go w czasie studiów.

Latwis był starszy od pani Aleksandry zaledwie o rok. Urodził się w 1905 r. w Kołyszkach, gimnazjum kończył w Witebsku. Marzył o lotnictwie od najmłodszych lat, ale — mimo usilnych starań — odpadł na komisji. Podjął studia na Uniwersytecie Wileńskim, szybko jednak przeniósł się do Inżynierskiej Szkoły Saperów w Warszawie. Jak mówił: **„stąd miał już tylko jeden krok na lotnisko"**. I dopiął swego.

Pewnego dnia zameldował się w dowództwie I Pułku Lotniczego na Okęciu. Podporucznik pilot Stanisław Latwis został skierowany do 111 Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Latwis bardzo ładnie grał na fortepianie. Zawsze też, w czasie tanecznych wieczorków, płynęły spod jego palców tony dziarskiego **Marsza Kosynierów.** To była jego ulubiona melodia, przekazywana w rodzinie z dziada pradziada na wnuków i synów od czasów Insurekcji Kościuszkowskiej. I ona też stała się w roku 1930 głównym motywem **„Marsza lotników"**.

Było to tak: pewnego dnia Stanisław Latwis zwrócił się do panny Aleksandry z prośbą, by napisała wiersz o lotnikach do melodii **„Marsza Kosynierów"**, częściowo przez niego zmodyfikowanej i unowocześnionej. Chciał bardzo, by ta pieśń stała się hymnem 111 Eskadry. Zmarnowała całe ferie wielkanocne, które tym razem spędzała u rodziców w Kielcach, ale **Marsz** powstał.

Pieśń przypadła do gustu Latwisowi. Ale ostateczna decyzja należała do lotników z Eskadry. I oto pewnego dnia wezwano pannę Aleksandrę do dowództwa na Okęcie. Jechała „z duszą na ramieniu". Przy dźwiękach nowo powstałego **„Marsza lotników"** dowódca kpt. pilot Józef Kępiński udekorował ją Honorową Odznaką 111 Eskadry Myśliwskiej.

W rok lub dwa lata później **„Marsz"** doczekał się pierwszego wydania drukiem. Utwór opracował i zharmonizował Feliks Rybicki. Potem przyszło drugie wydanie nut i płyta nakładem firmy „Syrena Elektro". Grała orkiestra Syrena Rekord z towarzyszeniem Chóru Juranda. W 1933 roku popłynęła pieśń ulicami Warszawy podczas odsłonięcia Pomnika Lotnika. Gdy w 1934 roku na lotnisku na Okęciu kapitan Jerzy Bayan lądował po zwycięskim Challenge'u, witano go także **„Marszem lotników"**.

Reprod. P. Marchewka

W maju 1935 roku, w czasie lotu ćwiczebnego w Dęblinie, zginął śmiercią lotnika porucznik pilot Stanisław Latwis. Na wojskowym cmentarzu powązkowskim żegnano go **Marszem,** który był mu tak drogi, i którego melodia przez pokolenia była związana z tradycją rodu Latwisów. W dwa lata później, dokładnie 15 października 1937 roku, w czasie uroczystości związanych z X-leciem Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie, marsz został odegrany po raz pierwszy jako oficjalny **„Marsz Polskiego Lotnictwa"**. Odtąd już niezmiennie towarzyszył wszystkim naszym eskadrom poprzez dni pokoju, a potem — od września 1939 roku poprzez wszystkie dni wojny, aż do zwycięstwa w 1945.

Losy wojny rzuciły Panią Aleksandrę do Francji i Anglii. Pracowała tam w Wydawnictwie Książek Szkolnych dla młodzieży polonijnej i wykładała język polski w Szkole Morskiej, którą kierował kapitan żeglugi wielkiej Karol Olgierd Borchardt, b. starszy oficer „Daru Pomorza", uczestnik kampanii norweskiej, marynarz okrętu „Chrobry", autor książek **„Znaczy kapitan" i „Krążownik spod Samosierry"**. Była także matką chrzestną sztandaru Polskiego Lotnictwa, który poprzez kordony wojenne dotarł z okupowanej Polski na Wyspy Brytyjskie. Jej powrót do kraju po wojnie wiązał się z dramatem osobistym. Wracała sama, bez męża. Decyzja była ogromnie trudna, ale pani Aleksandra uważała, że miejsce Polaka jest w ojczyźnie, nie na emigracji. Przyjechała do Kielc, gdzie spodziewała się znaleźć rodzinę; podjęła pracę w Muzeum Świętokrzyskim. Zasługą jej jest m. in. współorganizowanie muzeów literackich — Sienkiewicza w Oblęgorku, Żeromskiego w Kielcach i Kochanowskiego w Czarnolesie. Jednocześnie, jako opiekunka działu etnograficznego, całe lata gromadziła ginące już zabytki kultury ludowej. Ale najbardziej cieszyła się z punktu etnograficznego, który urządziła we wsi Bieliny, w zabytkowej chacie z 1794 roku, a więc zbudowanej w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej. Czyżby w ten sposób chciała nawiązać do tradycji 111 Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki i genezy melodii **„Marsza lotników"**?

• • •

Wracałem z Kielc pod urokiem spotkania z panią Aleksandrą i pełen wdzięczności dla tych, których informacje naprowadziły mnie na ślad niezwykłej historii pieśni „polskich Ikarów", mknących coraz wyżej i wyżej, ku niedoścignym gwiazdom.

HISTORIA NAJNOWSZA

22 listopada 1963 roku zginął od skrytobójczej kuli prezydent Stanów Zjednoczonych, John Fitzgerald Kennedy. Choć od owego dnia minęło już ponad jedenaście lat, nadal niejasne okoliczności tego tragicznego wydarzenia intrygują opinię publiczną w USA.

Niejasne — bowiem mimo raportu komisji dochodzeniowej, zwanej „komisją Warrena", która miała wyjaśnić podłoże zamachu na prezydenta — wciąż istnieje jeszcze bardzo wiele znaków zapytania. Dotąd nie wiadomo, ilu było morderców? Kim byli i czyje interesy reprezentowali? Choć w tamtych dniach około 90 prac. Amerykanów zaaprobowało ustalenia komisji Warrena, iż jedynym zabójcą Kennedy'ego był Lee Harvey Oswald, działający całkowicie na własną rękę, to dziś prawie 72 proc. obywateli USA uważa, że prezydent padł ofiarą spisku politycznego. Kto mógł być jego inspiratorem? Tego, niestety, dotąd nie ujawniono. Przypuszcza się jednak, na podstawie wielu faktów, zwłaszcza niedawno odkrytych, iż prawdopodobnie musiała to być jakaś wysoka osobistość amerykańska.

ANDRZEJ BLAJER

ANATOMIA ZBRODNI (I)

FILM ZAMKNIĘTY W SEJFIE

ILE BYŁO KARABINÓW

Ponieważ raport komisji dochodzeniowej pod przewodnictwem Earla Warrena, przewodniczącego Sądu Najwyższego USA, wzbudził w społeczeństwie wiele kontrowersji i wątpliwości, próbowano wyjaśnić przynajmniej niektóre fakty i okoliczności, związane z zamachem na Kennedy'ego. Przede wszystkim poddano w wątpliwość główną tezę raportu, stwierdzającą, iż morderca był tylko jeden. Prof. Cyril H. Wecht, dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej w Pittsburghu, który jako pierwszy otrzymał pozwolenie na zbadanie zdjęć rentgenowskich zwłok Kennedy'ego, stwierdził z pełnym przekonaniem, **iż więcej jak jeden człowiek strzelał do samochodu prezydenta.** Tego samego zdania był również dziennikarz — detektyw, Thomas Buchanan, który w swej książce „Kto zabił Kennedy'ego?" (wydanej także w Polsce w 1965 roku) poddał w wątpliwość szereg ustaleń wspomnianego raportu. Do podobnych wniosków, co Cyril H. Wecht i Thomas Buchanan, doszli również fotograf Josiah Thompson, pisarz Penn Jones, dyrektor radia francuskiego. Roland Mehl, historyk, pani Margaret Field oraz całkiem niedawno dziennikarz George W. Herald. Kwintesencję ich sądów najtrafniej wyraziła Margaret Field:

„W dziesięć lat po dokonaniu w Dallas morderstwa na Johnie Kennedym, pozostaje ono najbardziej niezwykłym przypadkiem kryminalistyki obecnego stulecia. Rzekomy sprawca mordu zostaje zabity, morderca mordercy umiera w szpitalu więziennym, a ponad dwudziestu bardzo ważnych dla sprawy świadków w przeciągu trzech lat znika z tego świata w mniej lub bardziej tajemniczy sposób. Mimo to prawdy nie da się ukryć na zawsze. Po tym wszystkim, co dzisiaj wiemy na ten temat, raport komisji Warrena wydaje się być tylko bezwartościową paczką makulatury."

RETROSPEKCJA

Powróćmy na chwilę do wydarzeń tamtego krytycznego dnia. Jest 22 listopada 1963 roku. Dallas — stolica stanu Texas. Dochodzi godzina 11,37 czasu lokalnego. (18,37 czasu europejskiego). Na płycie lotniska Love Field ląduje samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych „Air Force One". Wysiadają z niego prezydent John F. Kennedy i jego małżonka Jacqueline. Cel ich wizyty związany jest z rozpoczęciem nowej kampanii wyborczej na urząd prezydenta USA. Nieprzypadkowo pada wybór na Texas, w tym bowiem stanie w wyborach 1960 roku Kennedy wygrał jedynie minimalną większością głosów.

W Dallas prezydent ma zamiar wygłosić przemówienie podczas obiadu wydanego w Trade Mart. Na liczącej prawie 20 kilometrów trasie przejazdu kolumny prezydenta z lotniska do miasta, gromadzą się tłumy ludzi. Na prośbę lokalnych przywódców Partii Demokratycznej prezydent zgadza się odstąpić od pierwotnego zamiaru szybkiego przejazdu z lotniska do Trade Mart. Choć nastawienie większości czołowych osobistości stanu nie jest przychylne osobie prezydenta, Kennedy jest entuzjastycznie witany przez zgromadzone tłumy. Samochód prezydenta jedzie wolno na czele kolumny. Kennedy na tylnym siedzeniu, z lewej strony obok niego siedzi jego żona, Jacqueline. Przed nim, także z żoną, siedzi gubernator stanu Texas, John Connally oraz kierowca i agent ochrony. Orszak prezydencki jedzie ulicą Main Street w kierunku Houston Street.

Zbliża się godzina 12.30. Kolumna samochodów skręca z Houston Street w Elm Street i kieruje się ku wiaduktowi kolejowemu. Nagle powietrze przeszywa odgłos wystrzału. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci. Kto i skąd strzela Wydaje się, iż strzelano z VI piętra składnicy książek na rogu Elm Street i Houston Street. Prezydent Kennedy chwyta się rękoma za gardło i osuwa się na tylne oparcie. Słychać krzyk jego żony: „Och, nie!" Również gubernator Connally odwrócony ku prezydentowi zostaje trafiony, pada na podłogę samochodu. Agenci bezpieczeństwa otaczają samochód, który następnie szybko oddala się w kierunku wiaduktu do Parkland Memorial Hospital.

O godzinie 13.00 przychodzi wiadomość o śmierci prezydenta. Tyle sucha kronikarska relacja z wydarzenia, które wstrząsnęło Ameryką i całym światem.

Nie jest, oczywiście, celem tego artykułu przypominanie znanych powszechnie faktów, dotyczących okoliczności śmierci prezydenta Kennedy'ego, a obszernie analizowanych przez wymienionych autorów, skoncentrujmy raczej naszą uwagę na elementach nowych bądź dotychczas nie wyjaśnionych.

JEDEN STRZELEC

Jak pamiętamy, na VI piętrze teksaskiej składnicy książek szkolnych, skąd padły strzały, obok karabinu typu Mannlicher-Carcano, znaleziono na podłodze trzy łuski. Według raportu komisji Warrena, tylko te trzy pociski zostały wystrzelone i wszystkie trzy przez Lee H. Osvalda. Pierwsza z wystrzelonych kul miała ranić zarówno Johna Kennedy'ego jak i siedzącego przed nim gubernatora stanu Texas, Connally'ego. Ugodziła ona rzekomo prezydenta w dolną część karku, przebiła jego krtań i poleciała dalej, torując sobie drogę przez klatkę piersiową Connally'ego, przegub dłoni i górną część uda. „Zygzakując" wyszła na zewnątrz, zaś po przywiezieniu ofiar zamachu do szpitala Parkland, znaleziono ją nie naruszoną na noszach Connally'ego. Kula ta w raporcie Warrena została przedstawiona jako dowód rzeczowy numer 399.

Wprawdzie dokument ten przyznaje, iż gubernator został ranny zanim Osvald miał czas wystrzelić swą drugą kulę i dopiero trzecim strzałem zadał prezydentowi śmiertelną ranę w głowę, zarazem jednak dodaje, że Osvald w czasie, jaki miał do dyspozycji, nie mógł w żadnym wypadku oddać więcej jak trzy strzały. Teza o jedynej winie Osvalda może być więc tylko w tym przypadku utrzymana, jeśli się przyjmie, że jego pierwsza kula ugodziła zarówno w gubernatora, jak i prezydenta. Jest to koronna teza raportu Warrena, teza, która jest jego fundamentem. Dziś, po ponad jedenastu latach, można sobie zadać pytanie, **czy pozostaje ona taką nadal?**

Wszystkie relacje świadków wykazują spore luki, toteż jedynym dokumentem, który obiektywnie rejestruje przebieg tych tragicznych chwil w dniu 22 listopada 1963 roku, jest **film zrobiony przez amatora, Abrahama Zaprudera, który później sprzedał go za 25.000 dolarów wydawnictwu „Time".** Oryginał rychło znalazł się w stalowym sejfie firmy, natomiast na użytek pisma sporządzono kopię. Z kolei komisja Warrena otrzymała już kopię owej kopii, a FBI musiała się przez pewien czas zadowolić tylko kopiami kopii, sporządzonej na podstawie pierwszej kopii oryginału. Każdy zajmujący się choć trochę fotografią i filmem doskonale zdaje sobie sprawę z tego, ile z każdą reprodukcją obraz traci na przejrzystości. Fotograf, Josiah Thompson, należący do sztabu redakcyjnego tygodnika „Life" (wydawanego przez Time Inc.), tak oto wyjaśnia ów nieco dziwny sposób postępowania władz prowadzących dochodzenie, które nie wydały nakazu konfiskaty tak przecież ważnego dokumentu:

„Komisja Warrena musiałaby, chcąc nie chcąc, uwzględnić ten dokument, jako swego rodzaju „chronometr" wydarzeń. Kamera Zaprudera wykonywała 18,3 zdjęcia w ciągu sekundy.

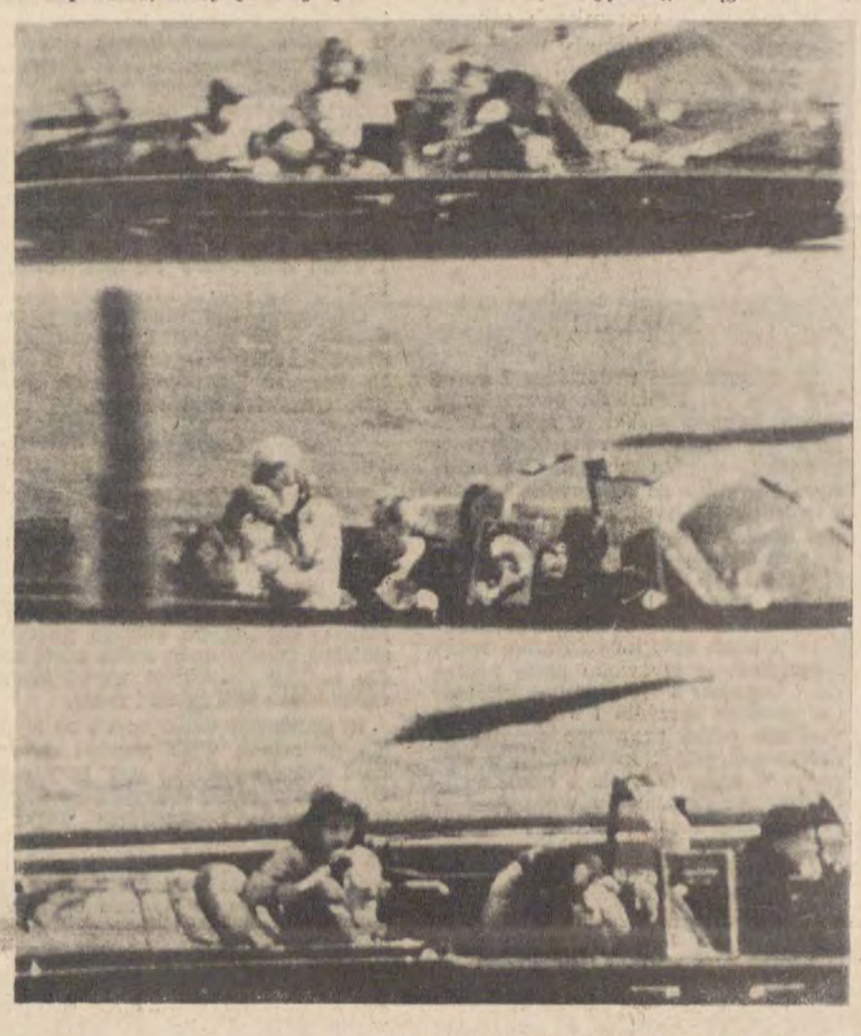

Reprodukcja Włodzimierz Parys

TEORIA LITERATURY

JERZY PORADECKI

POEZJA i PROZA

Od kilkudziesięciu lat obecne jest w naszej kulturze przekonanie o wyższości prozy nad poezją. Jeżeli nawet jesteśmy skłonni podziwiać mistrzostwo poetów i przeciwstawiać mu pewien odczuwany amorfizm dzieł pisanych prozą, prozaicy łatwo odzyskują przewagę nad poetami, wskazując na bogactwo i głębię odzwierciedlonego w ich dziełach życia. Wszystko w końcu sprowadza się do stwierdzenia, że być może poezja jest ładniejsza, ale proza ważniejsza.

„Niejeden pyta dzisiaj co to znaczy
Ten wstyd, jeżeli czyta księgę wierszy,
Jakby do gorszej natury w nim samym
Zwracał się autor w niejasnym zamiarze
Myśl odsuwając i myśl oszukując.

Z przyprawą żartu, błazeństwa, satyry,
Jeszcze się umie podobać poezja
Jej znakomitość wtedy się docenia.
Ale te walki, gdzie stawką jest życie
Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było.

I nie wyznany dotychczas jest żal.
Służą, nie trwają, romanse, traktaty.
Bo więcej waży jedna dobra strofa
Niż ciężar wielu pracowitych stronic.

(Czesław Miłosz, Traktat poetycki)

Czy to zupełne zaufanie do poezji, które odczytujemy u Miłosza, nie jest uroczym anachronizmem w czasach, kiedy już nawet powieść porzuca się na rzecz pamiętników, reportaży, wspomnień itp? Czy rzeczywiście głód faktu musi oddalać od lektur poetyckich, nakazuje lekceważyć nierealistyczne konwencje prozy?

Jedną z najciekawszych motywacji wyższości prozy są rozważania Michaiła Bachtina w pracy „Słowo w poezji i słowo w prozie".

Podstawowe założenia, na których swoje rozważania opiera, sprowadzają się do dwóch twierdzeń. Człowiek nawiązuje kontakt z rzeczywistością tylko poprzez język, poprzez mowę. Konieczność rozumienia rzeczywistości automatycznie łączy się z artykulacją interpretacji w języku. Rodzaj owej artykulacji językowej, nazywania rzeczywistości, wyznacza typ kontaktów ludzi ze światem rzeczy i światem społecznym. Drugie podstawowe sformułowanie wynika z oczywistego spostrzeżenia, iż właściwie żaden z ludzi nie znajduje się w sytuacji praojca Adama, któremu Bóg przedstawił rzeczy świata tego i zlecił nadanie im nazw. Odkąd istnieje kultura i społeczeństwo przyjmujemy gotowe nazwy rzeczy, wielość języków interpretujących świat. Wybieramy między nimi, gdyż ten wybór zadecyduje o naszym stosunku do rzeczywistości. Wybór jednego języka jest odmową przyjęcia drugiego. Tak więc z konieczności wchodzimy w dialog z innymi systemami językowo-światopoglądowymi. Poezja i proza znajdują się na dwóch przeciwstawnych biegunach tendencji rozwojowych „rzeczywistości słowno-ideologicznej".

Pisze Bachtin:

„Główne odmiany gatunków poetyckich rozwijają się w łożysku scalających i centralizujących sił dośrodkowych rzeczywistości słowno-ideologicznej; natomiast powieść i zbliżone do niej gatunki prozy artystycznej kształtowały się w nurcie sił decentralizujących, odśrodkowych. Podczas gdy poezja na oficjalnych górnych piętrach społeczno-ideologicznych dokonywała dzieła kulturalnej, narodowej i politycznej centralizacji życia słowno-ideologicznego, na dole, w budach jarmarcznych i na placach, rozbrzmiewała ze sceny błazeńska, różnorodna mowa, przedrzeźnianie wszystkich „języków" i dialektów. (...) Była to mowa różnorodna zdialogowana".

Łatwo zrozumieć Bachtinowskie sympatie dla prozy i antypatie dla poezji. Różnorodność, wolność, przedrzeźnianie, dialogowość, są w kulturze właściwie jedyną gwarancją rozwoju ludzkości. Proza, ze swoim rzucającym się w oczy zróżnicowaniem postaw i bohaterów, ich języków, zwłaszcza ten typ prozy, który Bachtin nazwał powieścią polifoniczną, w której autor bynajmniej nie posiada żadnych większych praw wyrażania swoich poglądów niż jego bohaterowie, powieść, która nie narzuca czytelnikowi jednej wizji świata uznanej za wyłącznie słuszną, zmusza go do wyboru, ukazując jak można najlepiej dobre racje wszystkich protagonistów — wydaje się być wcieleniem idei różnorodności, swobody, tolerancji.

Z drugiej strony, jak pisze Bachtin:

„Styl poetycki jest umownie odcięty od jakiegokolwiek współdziałania z cudzym słowem, zwolniony od wszelkiego oglądania się na cudze słowo. (...) W związku z tym nie znane jest również stylowi poetyckiemu poczucie ograniczoności, historyczności, społecznej określoności i specyficznego nacechowania własnego języka, a stąd też obcy mu jest krytyczny, pełen zastrzeżeń stosunek do swojego języka jako do jednego z wielu języków zróżnicowanej całości językowej..."

Zbyt łatwo przy pomocy kilku przykładów ośmieszyć propozycje Bachtina. Kiedy jednak zestawimy jego rozważania z cytowaną pochwałą poezji, nie trudno zauważyć podstawy sporu, które zmuszają do poważnego przyjrzenia się przedstawianym rozwiązaniom. Tacy pisarze jak np. Witkacy i Miłosz poszukują wartości absolutnych. Przeżycie metafizyczne nie podlega historii. Jest bezpośrednim kontaktem człowieka z absolutem. Wartościowa poezja u Miłosza trwa wbrew czasom, w przeciwieństwie do funkcjonalnych w różny sposób, w zależności od chwili i okoliczności, traktatów i romansów. Bachtin obawia się, iż przyjęcie koncepcji wartości absolutnych, niekwestionowalnych, prowadzi do unifikacji i totalizmu. Wielbi wiecznie zmienną historię, która nie posiadając żadnych nieodwołalnych dziesięciu przykazań, każdemu ofiarowuje język własny i własną wolność, a jeśli już nie starczy sił na wypracowanie własnej mowy, można w ostateczności odciąć się od monopolistów języka strojąc grymasy, parodiując.

Czy jednak rzeczywiście poezja jest nastawiona na wartości absolutne, uniwersalne, a proza troskliwie notuje względność, chwilowość, uświadamia niepewność, zmusza do wyborów, które nigdy nie zyskają znamienia konieczności, bezdyskusyjności?

Wstrzymajmy się jeszcze od prób odpowiedzi. Przypatrzmy się wpierw samemu postawieniu problemu niniejszego referatu: poezja i proza. Dlaczego akurat badanie zależności i więzi między tymi dwoma rodzajami literatury wydaje się obiecujące, interesujące. Rzut oka w przeszłość stosunkowo łatwo uzmysłowi nam, że lat temu dwieście problem prozy w świadomości literackiej prawie nie istniał. Pojęciem poezji obejmowano wszystko, co było sztuką, przedmiotem estetycznym utworzonym w materiale językowym. Pamiętnik, kronika, formy epickie nie wierszowane, w ogóle nie wchodziły w zakres poezji. Stanowiły domenę rozrywki, zaspokajały ciekawość świata, zainteresowanie ideami, filozofią. Dopiero później, gdy w początkach XIX wieku ukształtowało się pojęcie literatury, szersze od dawnego pojęcia poezji, gatunki dotychczas pogardzane, nie umieszczane nawet w poetykach, zaczęto rozpatrywać w kategoriach estetycznych.

Jednocześnie z kształtowaniem się pojęcia literatury wychodziło z użycia pojęcie wymowy, zainteresowanie dla retoryki. Bardzo charakterystyczne, iż ogromna ilość osiemnastowiecznych podręczników poetyki nawet w samych tytułach przeciwstawiała sobie poezję i wymowę. Było to eksplikacją podstawowego przekonania, iż poezja jest dziedziną wartości absolutnych, bezwzględnych, natomiast umiejętność posługiwania się językiem, przekonywania, właściwa retoryce, jest sztuką osiągania pewnych doraźnych efektów.

Przyjrzyjmy się nieco uważniej temu członowi zestawień, wymowie, która w niewiele lat później została wyparta przez prozę. Retoryka jest nauką o sposobach przekonywania, pouczania. Z samej swojej istoty zakłada instrumentalne rozumienie języka. Współczesna semiotyka dziedziczy tradycje retoryki. W początkach XIX wieku dokonał się proces, którego ostatecznym rezultatem jest traktowanie twórczości językowej jako wypowiedzi. Zatarły się dotąd silnie podkreślane granice między poezją, która — używając terminu Miłosza — trwa, a innymi produktami twórczości językowej, które służą. Relatywizacja pojęcia piękna, romantyczne teorie twórczości i języka, odsyłające czytelnika w poszukiwaniu wartości utworu poza utwór, zlanie w teoriach realizmu kategorii wypowiedzi, interpretacji rzeczywistości oraz jej odbicia, naśladowania, spowodowały bardzo brzemienną w skutki zmianę nastawień czytelniczych w stosunku do dzieła. Już nie było to podziwianie absolutnego piękna, wartości tkwiących w doskonałej robocie poety, nasilały się tendencje traktowania procesu lektury jako rozmowy z autorem.

Zmyślenie i prawda, tak starannie oddzielane w poetykach klasycystycznych, zatracają granice, wymyślona fabuła i bohaterowie powieści realistycznej mają odtąd informować o rzeczywistości. Również i poezja rości sobie prawo do prawdziwości. Nie chce już być sztuką piękną, aspiruje do odkrywania istoty rzeczywistości. Chce zastąpić filozofię, historię, socjologię... — **„Zmyślam, aby powiedzieć prawdę"** — tak wyglądało jedno z podstawowych założeń literatury po przełomie romantycznym.

Przemiany te wiążą się ze zmianą stosunku człowieka do rzeczywistości. Jeszcze człowiek osiemnastego wieku stykał się z przedmiotami bezpośrednio. Wierzono, iż są faktami, że istnieje coś takiego, jak prawda o wydarzeniach. Interpretacja od faktu była łatwo odróżnialna. Dlatego też retoryka, jako sztuka kształtowania wypowiedzi, nastawiona była nie na nadawanie wypowiedzi sensu, ale na jej siłę przekonywania. Faktów nie można było zniekształcać, należało jedynie sugerować słuchaczowi określony stosunek do nich.

Podobnie i utwór poetycki był przedmiotem, faktem. Podziwiano w nim wspaniałość myśli, piękno języka, bogactwo obrazowania itp. Człowiek kontemplował wiersz podobnie jak wspaniały pejzaż, pełen uroku, tajemnic, nie poddający się wyczerpaniu w swoim bogactwie. Literaturoznawstwo jako pośrednik między czytelnikiem a utworem nie było potrzebne. Tylko bezpośredniość kontaktu z dziełem dawała możliwość przeżycia jego wartości. Z chwilą, gdy utwór zaczęto traktować jako wypowiedź, niezbędnym stał się komentarz.

Komentarz, interpretacja, światopogląd. Bardzo ważne pojęcia. Od czasów Immanuela Kanta coraz wyraźniej zaczęto sobie zdawać sprawę, iż nie ma możliwości bezpośredniego obcowania ze światem. Obcujemy z jego interpre-

HISTORIA NAJNOWSZA

Przebieg całej tragedii został zarejestrowany na jego filmie między klatkami 210 a 315, co oznaczało, że wszystko rozegrało się właściwie w ciągu 5,6 sekundy. Komisja nie mogła więc nie zauważyć, iż tak krótki czas, jaki miałby do dyspozycji Osvald, obala jej tezę o jego jedynej winie. Z tego też względu komisja zrezygnowała z dokładnego studiowania dokumentu, gdyż wskutek tego mogłaby dojść do zupełnie innych wniosków. Ponieważ nikomu na tym nie zależało, zadowolono się więc drugorzędną kopią".

TAJNY ORYGINAŁ

Z filmu Zaprudera opublikowano dotąd niewiele zdjęć. Nigdy nie był on pokazywany ani w kinie, ani w telewizji. Również kopia znajdująca się w Narodowym Archiwum w Waszyngtonie jest niedostępna dla szerszej publiczności. Tylko kilka osób, za urzędowym zezwoleniem, mogło ją obejrzeć, a rezultaty ich obserwacji były dość mizerne. Po pierwsze dlatego, iż egzemplarz ten był tylko słabą odbitką pierwszej kopii, po drugie zaś — sceny, które pokazywano na ekranie, rozgrywały się szybciej niż można było za nimi nadążyć wzrokiem. Oddajmy jeszcze raz głos Thompsonowi, który komentuje to następująco:

„Kiedy oglądało się film Zaprudera po raz pierwszy, to widziało się zarazem wiele i nic. Nawet posługując się lupą przy analizowaniu poszczególnych klatek, obraz jest mniej lub bardziej zamazany. Do mojej dyspozycji przekazano bezpośrednią kopię oryginału, na której obrazy są bez porównania ostrzejsze niż na późniejszych kopiach. Poświęciłem studiowaniu tego filmu dosłownie setki godzin i nawet mnie pewne szczegóły udało się zauważyć dopiero przy pięćdziesiątej czy sześćdziesiątej projekcji."

Wydaje się więc słuszne, abyśmy również poświęcili temu filmowi nieco uwagi. Otóż scenariusz tego historycznego dokumentu — dowodu rozpoczyna się na 166 klatce, w momencie, gdy kolumna samochodów z prezydentem skręca z Houston Street w Elm Street. Prezydent Kennedy kiwa ręką do tłumów i widać wyraźnie, jak dąb zasłania widok z okna, gdzie czatował morderca. Ale oto już na 189 zdjęciu widać, jak prawa ręka Kennedy'ego zaczyna opadać w kierunku gardła. Ponieważ dąb zasłania widok z okna aż do klatki 207, rzeczoznawcy dostrzegli w tym wskazówkę, iż prezydent musiał zostać trafiony z przodu, zanim w ogóle znalazł się na linii strzału Osvalda.

Między klatką 207 a 225 obraz z kamery Zapradera jest zasłonięty przez szyld uliczny. Lecz w tej sekundzie pole ostrzału Osvalda było już wolne i gdy Kennedy znowu się pojawia na zdjęciu 225, widzimy go leżącego na plecach.

„Dopiero trzynaście klatek dalej — jak relacjonuje swoje spostrzeżenia Josiah Thompson — **widać, jak zostaje ranny gubernator Connally".**

Nie może być wątpliwości, było za późno na to, aby był to ten sam strzał, który dosięgnął Kennedy'ego, zaś za wcześnie, aby Osvald mógł ze swego karabinu wystrzelić następną kulę. Gubernator opadł przy tym na lewy bok w taki sposób, że już na zdjęciu 240 nie mógł stanowić więcej żadnego celu. W tym miejscu nastąpiła w filmie stosunkowo długa, bowiem trwająca cztery sekundy, przerwa aż do klatki 313, na której jesteśmy świadkami, jak czaszka Kennedy'ego została roztrzaskana nowym pociskiem. Krwawa masa mózgu zaczęła szybko wytryskiwać. Na zdjęciu 314 widać wyraźnie, jak głowa prezydenta odskakuje pod uderzeniem kuli do tyłu, zaś klatka 315 pokazuje, jak odskakuje znowu ku przodowi. Jest to reakcja, która nigdy nie mogłaby mieć miejsca, gdyby strzał był oddany z tyłu, a przecież okno, z którego miał rzekomo strzelać Osvald, samochód prezydenta już dawno minął.

Cały przebieg akcji, który zarejestrowała kamera w sposób oczywisty, przeczy zasadniczym punktom wniosków, do jakich doszła komisja Warrena. Przebieg ten obala również tezę o „jedynej winie" Osvalda oraz tezę o „podwójnym trafieniu".

„Co ciekawe — jak pisze Margaret Field — **nie mieliśmy przy tym do czynienia z dyletancką interpretacją tych faktów. Sekwencja ta, powtarzana w przeciągu ostatniego dziesięciolecia, została gruntownie zbadana przez uznanych ekspertów, wyposażonych w najnowocześniejsze pomoce techniczne. Była ona każdorazowo badana od nowa. Raport Warrena był w najlepszym razie konstrukcją myślową, film zaś jest rzeczywistością".**

Reprodukcja Włodzimierz Parys

TEORIA LITERATURY

tacjami. Przedmioty poznajemy tylko przez ich funkcjonalność w naszym ludzkim świecie, niedostępna nam natomiast jest ich istota. Jednocześnie z tendencjami relatywistycznymi zaczynała się dokonywać wielka mistyfikacja. Filozofowie i pisarze zaczęli nas przekonywać, iż sens, interpretacja są prawdziwą istotą świata.

Szczególnie doniosłą rolę odegrała tutaj pogardzana dotychczas proza fabularna, romans. Twierdząc, iż jest lustrem przechadzającym się po gościńcach, przekonywała, że to, co w sobie zawiera, jest prawdziwym obrazem świata. Bezzasadne zaufanie do szlifierzy szkła usuwało w cień wszystkie pytania dotyczące zniekształceń owego przedstawionego w lustrze obrazu.

Poezja na szczęście nie może być owym doskonałym lustrem. Lektura wiersza zawsze stawia bardzo specyficzny rodzaj oporu. Niepodobna nie zatrzymać się nad zaskakującym współbrzmieniem głosek, nie zadziwić się rymem, rozbiciem zdania między wersy tak, iż powstają pewne nierozstrzygalne rozbieżności sensu. Poprzez wiersz nie możemy patrzeć na świat, tak jak poprzez prozę realistyczną. Musimy patrzeć n a w i e r s z. Można by w tym miejscu westchnąć z ulgą — nareszcie coś, z czym stykamy się bezpośrednio. Nareszcie coś, czego nie można traktować jako interpretacji czegoś innego, coś, co trwa, nie służy.

Nadszedł już chyba czas, gdy na nowo trzeba będzie napisać traktat o pozornym i prawdziwym pięknie. Silne w nas poczucie samoistności poezji, w najszerszym rozumieniu tego słowa, domaga się oczyszczenia teorii estetycznych z pseudotłumaczeń genetycznych, psychologicznych, semantycznych itd. Na nowo trzeba postawić pytania, co to jest piękno i co to jest poezja.

Wydaje się, że interesujące wyniki będzie można osiągnąć poszukując rozwiązań na gruncie poetyk klasycystycznych i ich późniejszych kontynuacji. One bowiem potrafiły uniknąć tendencji redukcjonistycznych, nie dawały się zwieść, jak to określa Emil Staiger, „romantycznemu przeświadczeniu, że przyczyna jest bogatsza w treści i głębsza niż skutek".

Warto od razu w tym miejscu zastrzec się, iż moja pochwała nieredukowalnego żywiołu poetyckości w literaturze nie ma nic wspólnego z żadnymi hasłami „sztuki dla sztuki", „poezji czystej" itp. Jedna z pierwszych polskich powojennych prób programu poezji klasycystycznej łączyła w sobie rozważania o micie arkadyjskim, który miał pełne prawo stać się mitem prometejskim, rozważania o immanentnych wartościach poezji i o jej publicystycznych walorach. To romantyczni podżegacze, jak mówi Miłosz — **„przekonani, że cywilizacja datuje się od XIX wieku, a reszta jest zawracaniem głowy"**, są winni tej sytuacji, w której łączenie mitu arkadyjskiego żywiołu poezji i jej publicystycznych walorów wydaje się nieporozumieniem.

„Myślę, że klucz do przyszłości znalazłoby się w rozważaniach o ironii artystycznej, o persyflażu, o dramatycznych formach poezji (...) Ironia artystyczna, tak jak ją rozumiem, polega przede wszystkim na zdolności autora do przybierania skóry różnych ludzi i kiedy pisze w pierwszej osobie do przemawiania tak, jakby przemawiał nie on sam, ale osoba przez niego stworzona. (...) Jest to stary przepis dobrych majstrów, ale zdaje się niemal zupełnie zapomniany".

Kolejne rewolucje w literaturze dokonują się pod hasłami powrotu do rzeczywistości. Potraktujmy ów postulat serio. Nakaz autentyzmu stosunków człowieka z rzeczywistością nie wydaje się nam możliwym do kwestionowania. Postulat ów bywa również wyrażany w formie nakazu nawiązania kontaktu ze współczesnością.

Pojęcie w s p ó ł c z e s n o ś c i zawiera bardzo wiele elementów wyboru, interpretacji świata. „Współczesność", to termin podobnie obciążony elementami mistyfikacji jak „realizm". Sugerując bowiem bezpośredniość stosunku ze światem, kamufluje istniejące w nim elementy tłumaczenia, światopoglądu. Budzi nieufność, prowokuje do pytania, co używający tego terminu przez niego rozumie. Termin r z e c z y w i s t o ś ć jest otwarty, sprawdzalny tylko w konkretnej wypowiedzi o przedmiotach a nie o ich rozumieniu. Mówienie o rzeczywistości otwiera człowieka na świat. Mówienie o współczesności zamyka w kręgu spraw w danym okresie historycznym uważanych za istotne.

Z tych względów uważam, iż należy podjąć postulat Zbigniewa Herberta:

„Sferą działalności poety, jeżeli ma on poważny stosunek do swojej pracy, nie jest współczesność, przez którą rozumiem aktualny stan wiedzy społeczno-politycznej i naukowej — ale r z e c z y w i s t o ś ć, uparty dialog człowieka z otaczającą go rzeczywistością konkretną, z tym bliźnim, z tą porą dnia, kultywowanie zanikającej umiejętności kontemplacji".

Być może Herbert i Miłosz mylą się. Być może wraz z tradycjami klasycystycznymi dziedziczą właściwe im przekonanie, iż utwory prozą nie należą do dziedziny sztuk pięknych. XX-wieczna proza wykształciła z ogromną starannością cały szereg rygorów zmierzających do stworzenia z niej sztuki w największym znaczeniu tego słowa. Proza może przejąć te funkcje, które w dawnych wiekach pełniła poezja i chyba je już w dużym stopniu przejęła.

Trudno się więc dziwić, że współczesny czytelnik, bądź to rozmiłowany w prozie, bądź we wspaniałych tradycjach literatury polskiej, niejednokrotnie odczuwa widoczne ubóstwo poezji współczesnej. Nie dlatego, że brak znakomitych poetów i znakomitych wierszy. Gdzież jednak we współczesnej poezji szukać tak ogromnego wachlarza form artystycznych i bogactwa problematyki jak we fraszkach i pieśniach Jana Kochanowskiego; który z poetów operuje, tworząc znakomitą poezję, takimi umiejętnościami stylizacji i pastichowości, jak wielcy czasów baroku; gdzie się podziały umiejętności łączenia treści publicystycznych z ogromnym kunsztem literackim Ignacego Krasickiego; dlaczego wydaje się nam, że napisanie nowego „Króla ducha" jest w poezji niemożliwe (nawiasem mówiąc pisze go w swoich powieściach Teodor Parnicki).

Nie można tutaj przyjąć wyjaśnienia, iż nasza epoka nie jest w stanie, ze względu na swoją specyfikę, powtarzać tamtych doświadczeń. To nasi poeci czytelnikom i nasi czytelnicy poetom wmówili, iż to jest niemożliwe. Zbyt łatwo poezja rezygnuje ze znakomitych doświadczeń tysiącletniej kultury polskiej.

Obok podobnych pytań nie wolno przechodzić obojętnie. Potrzebne są głęboko przemyślane odpowiedzi na nie. Pozwoliłem sobie na włączenie do referatu obszarów rzadko wykorzystywanych we współczesnej refleksji nad literaturą, bowiem zbyt często, jak ze snu, budzi nas uwaga podobna tej, którą w roku 1932 wypowiedział na temat skamandrytów Bolesław Miciński:

„Dziś pochłonięci „brązowaniem" Boy'a, miotaniem inwektyw i najazdami na filozofię, która jedynie może właśnie wyprowadzić tak ich, jak całe społeczeństwo z gnuśnego bezwładu — nie są już zdolni do poważnego wysiłku twórczego".

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Urodził się 1 lutego 1912 r. w Łasku koło Łodzi. Ukończył Wydział Humanistyczny na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował wierszami na łamach prasy literackiej w 1936 r. W okresie okupacji był żołnierzem AK, brał udział w powstaniu warszawskim; po upadku powstania więziony w jenieckich obozach Sandbostel, Lubeka i Altengrabow. Po wyzwoleniu osiadł w Łodzi zajmując się pracą dziennikarską, literacką oraz działalnością polityczną. Był posłem na Sejm w latach 1957-1965. Od lat związany z Instytutem Wydawniczym „Pax". Działalność literacka Kononowicza rozwija się w trzech kierunkach: poezja, proza i satyra. Opublikował następujące zbiory wierszy: „Stacje liryczne" (1951), „W ramionach srebrnych rzek" (1953), „W sitowiu niebieskim" (1957), „Portret nieurojony" (1962), „Rekonstrukcja biografii". Wiersze wybrane i nowe. 1936-1966. (1967), „Gaj dębowy" (1974). W zakresie prozy opublikował biografię biskupa M. Klepacza pt. „Biskup Michał. Prolegomena do portretu." (1968) oraz zbiór opowiadań pt. „Szyfr o ojczyźnie" (1971). W zakresie satyry wydał „Zaułek fraszkobliwy" (1967) oraz „Prawą ręką za lewe ucho" (1970). Kononowicz zajmuje się także tłumaczeniem poezji niemieckiej, ukraińskiej, czeskiej i słowackiej. Ostatnio przełożył sporo wierszy Maksyma Tanka.

Twórczość liryczna Kononowicza to rodzaj pamiętnika, służącego utrwalaniu najważniejszych doznań i przeżyć osobistych. Jego liryka koncentruje się wokół kilku motywów zasadniczych, którymi są: ojczyzna, religia, rodzina. Patriotyzm Kononowicza cechuje afirmatywność i optymizm. Afirmatywność ta płynie z konstatacji, że skoro najważniejszy cel narodowy — odzyskanie niepodległości — został osiągnięty, reszta sama pomyślnie się ułoży. Jest to wszakże apologia swoista — przepojona młodzieńczą pasją i umiłowaniem ojczystego kraju, prowokacyjna w swym tradycjonalizmie wobec modnych dziś postaw kosmopolitycznych. Afirmatywność Kononowicza nie oznacza bynajmniej bierności; przeciwnie — wyrasta z imperatywu pracy, z wiary w siebie i naród. Osobnego omówienia wymagają liryki dotyczące wojny i martyrologii narodu: natrafiamy tutaj na zadziwiający optymizm, widoczny m.in. w wierszu „Ojciec Kolbe" (z tomu „W sitowiu niebieskim"), optymizm wypływający z postawy poety wobec życia. Narodowa tradycja stanowi bowiem determinantę jego poezji. Szereg jego wierszy odtwarza przeżycia, postawy i emocje tkwiące w kręgu sarmacko-szlacheckich tradycji; należą do nich: silny instynkt religijny, przywiązanie do stron rodzinnych, umiłowanie kultury narodowej w jej spetryfikowanych formach. Wynika stąd charakterystyczny sposób traktowania nieszczęść osobistych i publicznych jako sui generis anomalii, przypadku lub nieporozumienia. Korzyści takiego widzenia świata są wręcz nieocenione: jakież bowiem nieszczęście może załamać jednostkę, jeśli wierzy ona niewzruszenie w celowość i mądrość ładu, który ustanowił i którego strzeże Absolut? W takim oświetleniu nawet kataklizm wygląda na rzecz chwilową i nienormalną. Odporność psychiczna poety na martyrologię narodu podczas ostatniej wojny tłumaczy się w równej mierze jego aktywnym, wychylonym w przyszłość stosunkiem do życia, co i głęboką wiarą.

Religia katolicka stanowi kamień węgielny jego poetyckiego poglądu na świat oraz zasadniczy motyw jego twórczości lirycznej. Całokształt liryki religijnej Kononowicza zawiera system przekonań, dotyczących węzłowych kwestii chrześcijaństwa: stosunek jednostki do Absolutu, wartość cierpienia w kontekście religijnym oraz znaczenie pokory i przebaczenia, religia jako źródło radości, spokoju i pogody ducha.

Trzeci z głównych motywów twórczości Kononowicza — problematyka życia rodzinnego — dotyczy głównie uczucia miłości, które winno ożywiać i przepajać wszystkich członków szanującej tradycję rodziny katolickiej. Wiersze o życiu rodzinnym mają charakter postulatywno-normatywny, z wyjątkiem kilku utworów, np. „To było dawno i nieprawda" (z tomu „Rekonstrukcja biografii"), który to wiersz wyraża rozgoryczenie z powodu nieodwzajemniania ojcowskiej miłości. Z „rodzinnych" wierszy Kononowicza można też wydedukować swoistą hierarchię przedmiotów godnych miłości: są to: Bóg, rodzice i ojczyzna. Oddzielnie należy wspomnieć „Portret nieurojony", stanowiący eksperymentalną próbę rekonstrukcji psychiki nastolatek. Ten swoisty poemat o młodzieży jest zarazem dydaktyczny, opisowy i liryczny. Na uwagę zasługuje język tego utworu, skonstruowany z wyrażeń i zwrotów adekwatnych do życiowego doświadczenia, kultury i mentalności maturzystek, przeżywających swe problemy na modłę literacką, w otoczce rekwizytów wyniesionych z filmów i szkolnych lektur. Pełno tutaj reminiscencji, aluzji i parafraz wierszy Mickiewicza, Staffa, Tuwima, Gałczyńskiego, etc. Wpływ tych poetów przejawia się zresztą także w innych zbiorach wierszy Kononowicza.

Ich styl i kompozycję można chyba określić jako tradycjonalne, w dobrym znaczeniu tego słowa. Ich strukturę cechuje przejrzystość, ich styl — prostota, komunikatywność i bezpośredniość. Obserwujemy prawie zupełne odmetaforyzowanie tej poezji i wyrzeczenie się głównych tropów stylistycznych. W wierszach swych Kononowicz przejawia wyjątkowe wyczucie rytmu, dźwięku, plastyki i gestu. Daje temu wyraz w utworach z powodzeniem imitujących charakter i nastrój różnych rytmów i pieśni (por. np, „Kujawiak", „Kozak", „Walc", „Tango", „Slofox"), obrazów malarskich (np. „Szkoła holenderska"), czy występów choreograficznych (np. „Brzezinka" — wszystkie tytuły z tomu „W sitowiu niebieskim"). Ten dar transponowania jednych wartości artystycznych na inne, ten swoisty synkretyzm foniczno-wizualny nie przesłania jednak poecie zasadniczej funkcji jego liryki — komunikatywności. Muzyczność wiersza, osiąganą przez eufonię, rytm i rym, potęguje poprzez stosowanie paralelizmów składniowo-wersyfikacyjnych, z których na szczególną uwagę zasługują refreny. Kononowicz stosuje najczęściej refren — dystych, którego drugi człon skupia na sobie uwagę odbiorcy niespodziewanym, urwanym nagle zakończeniem.

Kononowicz zdradza także zamiłowanie do stylizacji, sięgając w zabiegach stylizacyjnych do bardzo różnych przekazów literackich: od literatury ludowej poczynając, poprzez żywoty świętych, Biblię, misteria i moralitety, na poezji Tuwima i Gałczyńskiego kończąc. Stylizowane na ballady wiersze Kononowicza korespondują z międzywojennymi i współczesnymi utworami balladowymi, które w przeciwieństwie do ballad romantycznych upodobały sobie sprawy zwykłe i przeciętne, bohaterów z marginesu społecznego etc. Synkretyzm sensualny, szczególne walory brzmieniowe oraz związki z balladą współczesną upodabniają częstokroć jego wiersze do piosenek estradowych.

Poezja J.M. Kononowicza zdradza liczne i ewidentne pokrewieństwa z twórczością A. Mickiewicza, poetów Skamandra i K.I. Gałczyńskiego. Wpływ poezji skamandryckiej przejawia się w silnym eksponowaniu lirycznego „ja", w sięganiu do tradycji romantycznych, w tradycyjnej budowie wiersza, respektującej na ogół dotychczasowe formy stroficzne (nie wyłączając paralelizmów składniowych i rymów), wreszcie — prostotą i komunikatywnością. Wpływ twórczości Gałczyńskiego widoczny jest w satyrach Kononowicza, szczególnie w samym groteskowym widzeniu rzeczywistości przedstawionej. Zafascynowanie poezją twórcy „Zielonej gęsi" wyraża się także poprzez liczne parafrazy, cytaty, aluzje, klimat utworów, stylizację języka, a nawet — dedykacje (por. np. „W imieniu trąbki Eustachiusza"). Swój stosunek do poety Ildefonsa, pełen wdzięczności i miłości, wyraził Kononowicz expresis verbis w epitafium pt. „Na śmierć K. I. Gałczyńskiego" (tom „W sitowiu niebieskim"). Trudniejszy do uchwycenia jest wpływ twórczości Mickiewicza mimo iż to wpływ chyba dominujący; dotyczy on także wielu spraw pozapoetyckich, jak np. stosunek do tradycji narodowej, aktywna, zaangażowana postawa społeczna i polityczna etc. Na gruncie literackim wpływ ten widać w tradycjonalizmie stylu i poetyki oraz w doborze motywów, ale również á rebour: w parafrazie, pastiszu i aluzji. Swój stounek do twórcy „Dziadów" określił Kononowicz m.in. w wierszu pt. „Adama ziemia młodości" (tom „W sitowiu niebieskim"). M.J. Kononowicz reprezentuje więc w swej twórczości postawę kontynuatora narodowych tradycji kulturalnych i artystycznych. Jest to jednak kontynuacja twórcza, bliska czasem koncepcjom z gruntu nowatorskim; stąd też osiągnięty pod jej znakiem dorobek poetycki posiada własną, autonomiczną wartość.

JÓZEF DUK

JERZY JARMOŁOWSKI

TRZY SONETY Z RÓŻĄ

z kimś by to słońce wypić przyjaciółko

tak zostajemy miła przyjaciółko
sami w biesiadzie — druhowie odchodzą
wieki i słowa zmierzch w ich oczach rodzą
wypada zmierzch ten nosić pod tęczówką

a gdzieś w Burgundii winnice się pocą
gdzieś na Mazowszu miód ma barwę żółtą
z kimś by to słońce wypić przyjaciółko
a że najlepiej spijać przed północą

przyjdzie mi kryształ bursztynem napełnić
przyjdzie mi różę w bursztynie zanurzyć
by w nasze oczy nie wniknęła ciemność

niechaj w kielichu krew z słońcem się burzy
przyjdzie mi teraz z kimś ten toast spełnić
— noś miła w oczach kryształ bursztyn różę

sonet na grób Nieznanego Markiza czyli jak Jarmoł przyjaciółkę swą na rojalizm nawrócił

gdy rewolucja z piękna brała żniwo
przepyszne głowy spadały do kosza
w strojnych perukach krew zaszeleściła
Dante umierał w rozbieganych oczach

był to gest kruchy jak misterna brosza
ktoś pod szafotem o róży czytywał
potem mu róża zakwitła we włosach
w historii piękno raczej kruche było

ty która różę nosisz dziś u skroni
wiedz że się stroisz na żałobę po nim

bo pod szafotem wiersz o róży czytać
to nie gest tylko lecz i sposób bycia

więc kiedy wpinasz dziś różę we włosy
to lud wyzywasz to odwracasz losy

któraś w nas dla nas a któraś dla innych

poezyjce

któraś od róży jest i koniczyny
ty co bywałaś przy królewskich stołach
któraś sypiała w złodziejskich barłogach
któraś od gęśli i od klawesynu

na barykadach któraś i w ogrodach
któraś znad Wisły i któraś znad Wilii
któraś w nas dla nas a któraś dla innych
któraś rodziła i wieszała bogów

któraś w alkowach i któraś w więzieniach
któraś w sokołach która w ślepych kurach
od miecza któraś i od pogrzebacza

któraś od kiesy która od sumienia
od menueta któraś i mazura
kurewko śliczna — jarmoł ci przebacza

TADEUSZ PAPIER

OCZEPINY

Początkowo Irenka nie chciała się zgodzić na oczepiny. Marcysia i Melania namawiały ją, aby dochować starego zwyczaju. „Wiesz, jaki ja ślub miałam? — powiedziała Melania — cała wieś była na moim ślubie. I garbaty i kulawy. A potem paradny przyjazd do domu. Konie ustrojone we wstążki, wozy, bryczki. Ja cała w bieli, a Ludwik w czarnym ubraniu, białej koszuli, przypięłam mu gałązkę mirtu do klapy. Oczepin nie darowałam. Popłakałam się przy tym, bo to człowiekowi serce się ściska, nie wiadomo dlaczego". Melania przesadza, albo też zawodzi ją pamięć, bo wiadomo, w jakich okolicznościach brała swój ślub. Bronek zadecydował krótko: „Będą oczepiny i koniec". „To tylko zabawa" — wtrąciła stara Agata. „Nie zabawa, a obowiązek" — powiedziała Melania. — Jakże to? Chcesz zaczynać nowe życie bez oczepin?" Agata zaś, mrużąc oczy, dodała: „Trza im wydrzeć trochę grosza. Wypili, najedli się do syta, niech płacą". „Za młoda jesteś, świata nie znasz" — rzekł stryj Ludwik. „Srebełko moje — zaczęła znowu Melania — Nie opieraj się. Może już nie doczekam takiej drugiej chwili." Irenka ustąpiła w końcu. Ale sama ceremonia odbyła się w pośpiechu. Irenka dała się wciągnąć do zabawy (Melania opowiadała potem, że Irenka jej dziękowała za oczepiny. Gdyby nie ty, babciu, to bym tego nie zaliczyła. Fajnie było, mówiła). Gerta i Marcysia, dwie matki, usadowiły ją na ławie, zaścielonej wyszywanym ręcznikiem. „Ten ręcznik jeszcze po twojej prababce" — rzekła Melania. „Dzisiaj takich nie robią. Zajmowałam się tym jeszcze za młodszych lat, ale zarzuciłam. Inne życie" — dodała Agata. Srebełko miała na swojej głowie wieniec z kwiatów. Dawniej panny młode nosiły wieńce paradne, wysokie na pół metra, trzeba było potem wiele zachodu, aby taki wieniec zdjąć z głowy, bo mocowało się go do włosów wstążkami, a nawet drucikami. Ale też i strój był do tego odpowiedni, bogaty. Irenka tymczasem miała na sobie białą, krótką sukienkę (Jędruśka mówiła: „Wszystko ta dziewucha odsłoniła. O mało co nie pokazałaby tyłka"), i wieniec złożony z różnych kwiatów. Była to raczej korona kwietna, w której przeważały białe i czerwone różyczki. Bardzo ładnie w tym wyglądała. „Mój Boże, śliczności obrazek" — powiedział Ogrodnik. „Jeszcze ci ten obrazek zajdzie za skórę" — wtrącił stryj Ludwik. Agata nie miała wiele roboty przy zdejmowaniu wieńca. Udawała, że rozplata warkocze (Srebełko miała włosy gęste i dość długie, spadały jej na ramiona, ale warkoczy nie zaplotła; może na przekór wszystkim kobietom?), kilka razy zabierała się do zdjęcia wieńca (Irenka powinna płakać w tej chwili, bronić się, tymczasem niespodziewanie potrząsnęła głową i wieniec sam spadł jej na ziemię). Piotr, starym zwyczajem, porwał wieniec z ziemi i uciekł z nim. Kobiety piszczały, a chłopi się śmiali. Wojtek miał łzy w oczach. A potem Agata założyła na głowie Srebełka czepiec z tiulu, pięknie haftowany i wykrochmalony. Czepiec nie był duży, miał kształt foremnego balona. Okazało się, że to Melania przywiozła go z Krakowa. I znowu Irence wypadało bronić się przed tym czepcem, „zrzucać go z głowy. Przypomniało mi się przedstawienie „Wesela Boryny" przed wojną, kiedy Agnieszka, jako Jagusia, odegrała swoją rolę wyśmienicie, płakała, nie dała sobie zdjąć wieńca, wszyscy mówili, że tak zachowuje się prawdziwa panna młoda. Irenka zaś pomagała Agacie, aż ta, zniecierpliwiona, uderzyła ją po rękach. To tym większą wywołało wesołość, a na twarzy Koziola zauważyłem chyba po raz pierwszy szczery uśmiech. I teraz nastąpił punkt kulminacyjny dla Agaty. Agata wzięła głęboki talerz, nie nakrywała go ręcznikiem („Niech wiem, co kto daje" — powiedziała) i zaczęła wszystkich po kolei obchodzić. Każdy wrzucał pieniądze do talerza. W nagrodę brał Irenkę w ramiona i tańczył z nią wokół izby. Muzyka grała to, co każdy zaśpiewał. Muzykanci byli z naszej wsi, nawet spokrewnieni z nami, na głównego skrzypka mówiliśmy „wujku". Nazywał się Sikora, grał z córką Ireną i jej mężem Bolkiem Zdziebłem. Bolek grał na trąbce. Byli to dobrzy muzykanci, którzy potrafili wszystko zagrać. Goście rzucali się na sute datki. Wincenty dał pięćset złotych. Kozioł także pięćset. Marian chyba dwieście. A Stach, brat Mariana, tysiąc. Agacie tylko oczy się świeciły. „Nadarli, habany, za truskawki, to się rzucają" — szeptała do Melanii. Agata zaniemówiła, kiedy Wojtek sięgnął do portfela i położył na talerzu (Agata już trzykrotnie wrzucała pieniądze z talerza do fartucha) sto dolarów. Wojtek był zadowolony z wrażenia, jaki jego gest wywołał. Skłonił głowę przed Irenką, ładnie to zrobił, chłopak był smukły, wysoki, dobrze ubrany („pasowało wszystko na nim jak ulał" — mówiła Melania do Agnieszki, a ta tylko chwytała się za serce). Obracał się z Irenką w takt walca nie raz, a dwa i trzy razy dookoła izby, a nikt nie śmiał mu przerwać. Dopiero Lutek podszedł do Agaty, uczynił to tak, że wszyscy zwrócili na niego uwagę, i położył dziesięć papierków po tysiąc złotych. „Co ten haban wyprawia?" — dziwiła się Melania. A Bronek, który szkalował Lutka, że jest skąpy, chwycił się za głowę i mamrotał: „Patrzcie, jaki spirytus!" Kazek zaś, brat Bronka, architekt, włożył swój datek do koperty i nie pozwolił, aby Agata zajrzała do środka. Zaczął się ogólny taniec, wszyscy teraz się kręcili, i starzy, i młodzi. Sikora ruszał wąsikami i wyczyniał na skrzypcach różne wariacje, podchwytywała je Irena na swoich skrzypcach, a jak się włączyła trąbka Bolka, i bęben, i jeszcze harmonia (od czasu do czasu grał na niej Kazek), wówczas, jak mówiła Melania, czy człowiek chciał, czy nie chciał, nogi same podrygiwały. Ja tańczyłem z Agnieszką. Przypominały mi się ostatnie dożynki przed wojną, kiedy także tańczyłem z Agnieszką, było wówczas ciasno, Agnieszka przytuliła się do mnie, obracaliśmy się prawie w jednym miejscu, mówiło się wtedy, że tańczy się na przetaku. Obiecywałem sobie przed ślubem z Irenką, że porozmawiam z Agnieszką, ileż to lat upłynęło od tamtych dożynek, ile to zdań pogubiliśmy po drodze, nadeszła okazja, aby pewne wzruszenia ożywić, choćby na krótko, a tu wesele minęło i poza zdawkowymi uwagami nie zdobyłem się na nic innego. I kiedy Sikora „urżnął", przed kolejną parą tancerzy, to znaczy zagrał na zakończenie „kawałka" wysoką, długą nutę i urwał nagle, pocałowałem Agnieszkę w rękę i powiedziałem: „Dziękuję". Moja żona tańczyła z Lutkiem. Melania mi powiedziała: „Uważaj, bo ten haban wyraźnie leci na nią". Córki kręciły się z chłopakami Bronka. „Jak Kazek wywijał! A jak Andrzej! A jak śpiewali/ tego się nie da opisać — opowiadała Melania — Dobre głosy mają habany!". Stryj Ludwik też przyśpiewywał. Kiedy Wojtek tańczył z Irenką, Ludwik uciszył muzykantów i zwracając się do Wojtka, zanucił:

Zebyś ty miał taką panią,
chodziłbyś ciągle za nią.
Jeszcze byś się przy niej układł,
co by ci jej niekt nie ukradł.

„A to dziadyga przekorny!" — krzyknęła Melania. Agnieszka zmarszczyła brwi. Marcysia podeszła do Gerty i powiedziała: „Jaka ja jestem szczęśliwa!" „Ja także" — odparła Gerta. „Tak pragnęłam tego małżeństwa" „Myślicie, że ja nie?" — powiedziała Gerta. „Wydawało mi się, że Irenka nie sprzyja mojemu chłopakowi" — rzekła znowu Marcysia. Miała twarz zmęczoną, bladą. Nacierpiała się w czasie wojny i te przeżycia odbiły się na jej zdrowiu. Gerta natomiast trzymała się dobrze, jeszcze była młoda, jeszcze chętnie zatańczyła. Odpowiedziała Marcysi: „Nieprawda. To tylko plotki. Sami widzicie, co tu ludzie o mnie wygadują. Niemrą mnie przezywają. Czarownicą. Gdybym się chciała przejmować! Jak wychodziłam za Bronka, ludzie opowiadali, że jestem hitlerówką". „Ale Wojtek Agnieszki kręcił się koło Irenki" — ciągnęła swój wątek Marcysia. „Kiedy to było!" „Mój chłopak jest skryty, nic nie mówił, ale widziałam, co się z nim dzieje" — rzekła Marcysia. A Gerta odparła: „Co wam się zebrało na wspominki. Połączyli się teraz". „Dlatego rada" — odparła Marcysia i uściskała Gertę. Stryj Ludwik nadszedł ich z tyłu i zawołał: „A to gołąbeczki. Pożenili młodych i teraz sobie gruchają!" „A cóż to? Nie wolno?" — zapytał Bronek. „Zbytki się was trzymają, dziadku" — rzekła Gerta. A Ludwik na to: „Od zbytków, panieś tego, głowa mnie jeszcze nie rozbolała. I zaczął śpiewać:

Oj, nie pójdę ja do domu
aż będzie świtało,
a, nie mam dzieciąteczka,
a, nie mam dzieciąteczka,
a, żeby mi płakało.

„Ale gdzież to pan młody?" — zapytał Ludwik i zanucił, a muzykanci podjęli melodię:

Naszemu panu młodemu niechaj
wiwat będzie.
Nie jadł z nami, nie pił z nami,
ale teraz będzie.

Zaczęli wszyscy wołać Piotra. Gerta zapytała: „Irenko, nie wiesz, gdzie Piotruś?" „Wysłałam za nim Agatę — odparła Irenka. „Skrył się gdzieś, psiajucha!" — krzyknął Ludwik. Teodor uspokajał: „Znajdzie się!". A Ludwik znowu swoje: „Widzi mi się, panieś tego, że długo będziemy go szukać". „A dlaczegóż to?" — zapytała Gerta. Ludwik odparł: „Musisz, Irenko, trzymać chłopa przy sobie. Znać każdy jego krok. Okręć mu szyję warkoczem, żeby nie hulał na boku". „Wojtusia też nie ma" — powiedziała Agnieszka. „Wyszedł, bo Ludwik mu wciąż docinał" — rzekł Teodor. „Gdzie ten, panieś tego, wetknie swój nos, tam zawsze musi być jakieś zamieszanie" — dopowiedziała Melania. Ale Wincenty zażegnał spory. „Dajcie spokój!" Zatrzymał się przed muzykantami i zaśpiewał:

Musiałaś, Iruniu,
rogozinę smykać,
bo na twoim weselu
muzyki nie słychać!

Skłonił się przed Irenką i wziął ją do tańca. Był dobrym tancerzem, więc wkrótce inni poszli w jego ślady. I znowu co chwilę ktoś stawał przed Sikorą, muzykanci przerywali granie, tancerz odśpiewał zwrotkę albo i dwie, po czym muzykanci grali, a kto mógł, wywijał hołubce. Nawet Bronek i Teodor się ruszyli. Bronek śpiewał:

Przez las, przez porębę
kochałem i będę.
Komu będzie zazdrość
będę kochał na złość!
I z kolei Teodor:
Którędy, którędy
droga do poręby,
bo mi porębianka
obiecała gęby.

Teodor tańczył z Gertą. Tańczył trochę niezgrabnie, ale Gerta kręciła się wokół niego wdzięcznie, tak że nawet ten taniec ludziom się podobał. „No, jeśli Irenka wrodziła się do matki, to Ogrodnik będzie miał dobrze" — powiedział Ludwik. Teodor znowu podchwycił dalszy ciąg przyśpiewki:

Obiecała gęby, obiecała pyska,
którędy, którędy do poręby ściżka.

Ludzie kwitowali te przyśpiewki śmiechem, oklaskami, okrzykami. „Ładne wesele" — powiedziała Melania. Marcysia dodała: „Wybawiłam się za wszystkie czasy". Ludwik, który był mocno podochocony, dodał: „Przed wojną był czas gorszy, ale wesela lepsze". „Co ty znowu, habanie, wygadujesz. Kiedyś ty widział takie wesele, jak w tym domu!" — zawołała Melania. „Zapomnieliście już — odparł Ludwik. Ludzie, panieś tego, dawniej umieli się bawić. Co to za wesele bez bitki. Pamiętam, panieś tego..." „Żebyś i dzisiaj nie oberwał" — pogroziła Melania. W tej chwili wszedł Kozioł z Piotrem i Wojtkiem. Powitano ich okrzykami. „A to habany — rzekła Melania. — Znikają z domu i wszyscy się martwią, co z nimi". „Myśleliśmy, żeście się pobili" — dodał Ludwik. „Byliśmy w gospodzie, pogadaliśmy trochę — mówił Kozioł. — Ano, bo tak po prawdzie, gdybyśmy nawet miesiąc cały byli ze sobą, i tak wszystkiego sobie nie powiemy. Tyle różnych spraw do wyjaśnienia. Wojtek opowiadał ciekawe rzeczy. Gdzie on nie był! Czego nie widział!" „A u nas to nic ciekawego nie ma?" — zapytał Teodor. Zauważyłem, że Wojtek stracił dawną wesołość. Panowało między nim a Piotrem jakieś napięcie. Nie dowiedziałem się, o czym rozmawiali z Piotrem. W każdym razie zaraz potem Wojtek pożegnał się z gospodarzami, Agnieszka także, tłumacząc się, że Wojtka czeka wyjazd za granicę i ona musi jeszcze to i owo przed wyjazdem przyszykować. Bronek zatrzymywał ich, Gerta także, ale Melania powiedziała: „Co ich będziecie więzić. Musi jechać, to niech jedzie. Gdyby nie musiał, zostałby. Znam przecie habana." A więc napili się jeszcze, Teodor kłaniał się w pas i dziękował, że przyjechali na wieś, że po raz ostatni są w tym domu, bo wkrótce dom zostanie rozebrany, a na tym miejscu, kto wie, może pojawi się maszyna, koparka, i nikt się nawet nie domyśli, że tu kiedyś stał dom, w którym było im tak dobrze. Sikora z muzykantami wyszli za próg, zagrali marsza, Wojtek wrzucił do kieszeni Sikory jakiś pieniądz, wsiedli z Agnieszką do samochodu. Lutek, który powstrzymywał się od picia, odwiózł ich do miasta. Dwoje ich tylko odjechało, a wszyscy poczuli żal w sercu. Irenka, widziałem to, wyraźnie posmutniała. Ogrodnik podszedł do niej i objął ją za plecy. A Ludwik zaśpiewał:

Już to nie wesele,
a ino poprawiny,
już to nie paninka,
ale gospodyni.
Toś się, Iruniu, uwiodła,
toś się uwiodła, uwiodła,
a byłabyś co niedzielę
z innymi biegła — da dana!

Od jutra wesele przenosiło się do domu Stefana.

(Fragment powieści „Ogrodnik i panna" nagrodzonej na Ogólnopolskim Konkursie Literackim p.n. „Ziemia Stefana Żeromskiego")

U PRZYJACIÓŁ

„Przed Bułgarskim filmem stoją nowe zadania ideowo-artystyczne — powiedział przedstawicielowi PAP, P. Karagaanow, zastępca dyrektora generalnego kinematografii BRL — związane z obecnym etapem budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Trzecia część filmów tegorocznej produkcji będzie poświęcona aktualnym problemom przemieniającego się kraju i ludzi, ukazać ma współczesnego Bułgara i komunistę".

Wśród tytułów P. Karagaanow wymienia „Wesele" w reż. Binki Żelazkowej poświęcony problematyce młodzieżowej, „Początek dnia" w reż. Dymitra Petrowa poruszający zagadnienia etyczno-moralne i wiele innych. Aktualnie trwają prace nad dwuseryjnym filmem poświęconym walkom partyzanckim „Ostatni bój" w reżyserii Zacharia Cherka oraz nad filmem „Osądzone dusze", również o tematyce wojennej w reżyserii Wilo Radewa wg powieści pod tym samym tytułem, znanego pisarza Dymitra Dimowa.

Warto również zwrócić uwagę na skalę koprodukcji bułgarsko-radzieckiej. Efektem tej współpracy będą trzy filmy o tematyce współczesnej oraz „Rusałka", film osnuty na motywach bajek Andersena.

* * *

Aleksander Czakowski pracował nad „Blokadą" prawie 10 lat. Niedawno ukończył jej ostatnie rozdziały. Autor przybył do osaczonego przez hitlerowców Leningradu jesienią 1941. W roku 1944 opublikował powieść „Było to w Leningradzie", jako pierwszy zapis refleksji z oblężonego miasta.

„Powrót do tego tematu — powiedział pisarz dziennikarzowi TASS — wynika z pragnienia przyjrzenia się tamtym wydarzeniom z perspektywy minionych dziesięcioleci. „Blokada", którą uważam za najważniejszą książkę w moim dorobku pisarskim, to utwór w którym autentyczne fakty przeplatają się z obrazami i wątkami zrodzonymi z wyobraźni autorskiej. Stosowałem zasadę: przedstawiać prawdę, choćby była jak najbardziej gorzka. W powieści podkreślona została kierownicza rola, jaką odegrała partia komunistyczna w organizowaniu obrony i zwycięstwie nad wrogiem. Pragnąłem przedstawić siłę tych idei, które natchnęły naród radziecki do zwycięstwa.

Wybitny pisarz radziecki Aleksander Czakowski jest od 1962 r. naczelnym redaktorem tygodnika „Literaturnaja Gazieta", deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR, członkiem Radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju.

* * *

W latach 1960—1972 ukazało się na Węgrzech 305 dzieł polskich autorów w łącznym nakładzie ponad 3 mln. egz. Wśród nich są książki wznawiane wiele razy. Np. „Chłopi" Reymonta (7 wydań) „Poezje" Mickiewicza (5) „Popiół i diament" Andrzejewskiego (3). Bardzo popularne na Węgrzech są książki Stanisława Lema m. in. „Cyberiada" i „Solaris". Bestsellerem był „Kapitan Kloss", znanej spółki autorskiej. (Dwa wydania o nakładzie ponad 200 tys. egz.).

Natomiast w NRD ukazał się ostatnio na rynku księgarskim zbiór dramatów Tadeusza Różewicza. Tom zawiera osiem utworów scenicznych m. in. „Kartoteka", „Grupa Laokoona", „Świadkowie albo nasza mała stabilizacja", „Śmieszny staruszek", „Stara kobieta wysiaduje", a więc dramaty najbardziej reprezentatywne dla pisarstwa Różewicza. Warto dodać, że czytelnik w NRD, dzięki tej publikacji po raz pierwszy spotyka się z twórczością naszego wybitnego dramaturga.

Do odmiennego nieco rodzaju „poloników" należy zaliczyć książkę nad którą pracuje obecnie Lew Sławin. W czasie wojny korespondent „Izwiestii", już wtedy podjął zamiar napisania powieści. Jej akcja rozgrywa się m. in. na Wyżynie Sandomierskiej i w okolicach Warszawy. Autor po latach odwiedził miejsce walk, spotkał się z uczestnikami ruchu oporu, przestudiował setki dokumentów, pamiętników, listów, chcąc nadać swej opowieści autentyczny charakter.

* * *

W Berlinie zakończył się Festiwal Muzyki Nowej. Był on bogatą prezentacją dorobku kompozytorów NRD oraz przeglądu światowej klasyki XX w., jak również najnowszej twórczości z wielu krajów. W Festiwalu wzięli udział poza zespołami i solistami z NRD, artyści z Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Szwecji, ZSRR. Z Polski przybyła Wielka Orkiestra Symfoniczna PR i TV z Katowic. W wykonaniu WOSPR (pod batutą Jerzego Maksymiuka) zaprezentowano berlińskiej publiczności utwory: „Riff" W. Kilara, „Cztery utwory" T. Bairda, „Muzykę staropolską" H. M. Góreckiego, „De natura sonoris" K. Pendereckiego oraz Koncert na altówkę Grażyny Bacewicz. Jako solistka w finałowym koncercie festiwalu wystąpiła Wanda Wiłkomirska z koncertem skrzypcowym Beniamina Brittena. W programie Festiwalu znalazł się również „Koncert na orkiestrę" Witolda Lutosławskiego w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Radia Berlińskiego.

(w)

TAJNA MISJA STEPHENA REYNOLDSA

Zasobne w ropę naftową terytoria krajów arabskich zawsze były przedmiotem szczególnego zainteresowania określonych kół imperialistycznych. W różnych okresach czasu walka o „płynne złoto" przybierała różne formy — od intryg, poprzez prowokacje, aż do dywersji i akcji zbrojnych włącznie. Sięgając do przykładu, warto dziś przypomnieć próby zorganizowania w 1970 roku zbrojnej dywersji przeciwko Libijskiej Republice Arabskiej, kilka miesięcy po obaleniu rządu króla Idrisa.

Wśród stolic krajów zachodu Rzym ma dziś reputację światowego ośrodka wywiadu, tytuł do którego pretendowały swego czasu Lizbona, Wiedeń i Genewa. Tutaj trwale usadowili się rezydenci służb wywiadowczych licznych krajów świata. Palmę pierwszeństwa zdobył Rzym nie przypadkiem, bowiem wiele państw, mając po dwie ambasady — jedną przy rządzie włoskim, drugą przy Watykanie, zabezpiecza w ten sposób swym agenturom dwa „stopnie" informacji.

W maju 1970 roku grono przeróżnych awanturników zagnieżdżonych w Wiecznym Mieście powiększyło się o niejakiego Stephena Reynoldsa, który przywędrował do Rzymu z Republiki Południowej Afryki. Nie był to bynajmniej przypadek. W jednym z barów Pretorii poznał Reynolds pewnego Libijczyka, który dał mu do zrozumienia, iż grupa bogatych Libijczyków przebywających w Rzymie na emigracji chętnie by skorzystała z usług obrotnych ludzi w realizacji pewnej, dość ryzykownej, misji politycznej.

Osiem miesięcy wcześniej, 1 września 1969 roku młodzi oficerowie strącili z tronu starego króla Libii, Idrisa, i ustanowili w Trypolisie nowe władze. Po przewrocie wielu bogatych Libijczyków, zajmujących za rządów obalonego króla wpływowe stanowiska, uciekło za granicę. Tam też libijscy magnaci zaczęli organizować spiski, marząc o powrocie do władzy starego króla lub kogoś z jego otoczenia.

Reynolds szybko nawiązał kontakty z libijskimi emigrantami, byłymi władcami tego naftowego Eldorado afrykańskiego kontynentu. Pragnąc zrealizować swoje polityczne zamysły, ludzie ci rzeczywiście szukali pomocy człowieka obeznanego z międzynarodowymi aferami w wielkim stylu, któremu — w wypadku pomyślnej realizacji ich planów — byli gotowi dobrze zapłacić.

Tak więc, przez osoby trzecie, Reynolds daje im do zrozumienia, że jest w stanie udzielić im „konsultacji i pomocy przy rozwiązywaniu pewnych szczególnych problemów". Po pewnym czasie, który by można nazwać okresem próby, „klienci" wyrażają zgodę na spotkanie z Reynoldsem i wtajemniczenie go w plany zamierzonego przedsięwzięcia. Chodzi o dokonanie błyskawicznej dywersji w okolicach Trypolisu. Proponują Reynoldsowi zwerbowanie najemników i zakup broni.

W lipcu tegoż roku Reynolds przylatuje do Londynu i nie tracąc czasu, wprost z lotniska, udaje się na Sloan-Street 22, gdzie w niewielkim domu czynszowym mieści się prywatna agencja handlu bronią „Wothguard", należąca do emerytowanego pułkownika Davida Stirlinga. Tutaj też, o piętro wyżej, mieści się jeszcze jedna agencja. Jej pracownicy wykonują, delikatnie mówiąc, niezwykłe funkcje: służą „poradami" wszystkim, którzy chcą uchwycić władzę lub ją utrzymać. Zrozumiałe, iż na korzystanie z takich „porad" mogą sobie pozwolić tylko bardzo zamożni klienci. Właściciel agencji, James Kent, były pracownik wywiadu brytyjskiego, ściśle współpracuje ze Stirlingiem. Reynolds szybko znajduje z nimi wspólny język i szczegółowo omawia zadania postawione przez libijskich magnatów naftowych: zorganizowanie napadu na centralne więzienie w Trypolisie, zaszyfrowanego umowną nazwą „Hilton". Najemnicy muszą opanować więzienie i uwolnić króla Idrisa i jego bliskich.

Prawdę mówiąc, operacja „Hilton" nie bardzo jakos przypadła do gustu pułkownikowi Stirlingowi. Jego agencja nie jest bynajmniej jakimś zakonspirowanym sklepikiem, dlatego też jawny udział w tego rodzaju ryzykownej operacji mogłby wywołać niezadowolenie rządu brytyjskiego. Stirling jest za dobrze znany w ekskluzywnych kołach Anglii, żeby mógł bezpośrednio kierować tą awanturą. Krotko mówiąc, dogadano się iż kierowanie operacją weźmie na siebie Kent. Obaj doskonale wiedzą, że operacja ta nie może ujść uwadze brytyjskiej Intelligence Service i amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale mają nadzieję, iż rządy Anglii i USA będą patrzeć przez palce na „swawole" Stirlinga i Kenta.

Przypuszczenia te nie były pozbawione podstaw. 18 maja 1970 roku pewien wysoki urzędnik rządu brytyjskiego w prywatnej rozmowie z Kentem i Stirlingiem powiedział, że każdy zdrowo myślący człowiek w Anglii powinien pomagać w restauracji obalonego reżimu. Dlatego też, kiedy kilka tygodni później Reynolds przyjechał do Londynu z gotową propozycją zorganizowania dywersji w Libii, Kent i Stirling posiadali już przygotowaną solidną teczkę z dokumentami. Najbardziej interesujące, że Arab który zlecił Reynoldsowi zwerbowanie najemników, figurował w tych dokumentach w charakterze kandydata nr 1 do odegrania roli przywódcy spisku. Jego nazwisko: Omar Al-Szelhi.

Omar Al-Szelhi i jego bracia zajmowali w okresie władzy króla Idrisa najwyższe stanowiska w aparacie państwowym. Nikt nie cieszył się takim zaufaniem monarchy, jak właśnie ta rodzina, której członkowie byli doradcami na dworze królewskim, dowodzili strażą dworską i zajmowali stanowiska ministrów. Szelhi i jego kuzyni de facto trzymali w swych rękach ster rządów, starając się jednak zawsze pozostawać w cieniu. Osobisty majątek Szelhi, którego brat, były minister obrony w rządzie króla Idrisa, znajdował się w więzieniu, oceniano na 25 milionów dolarów. Większa część tego majątku była ulokowana w przeróżnych bankach zagranicznych, przynosząc jego właścicielowi ogromne dochody. Było wiadomo, że Szelhi przysiągł na Koran, iż poświęci ostatnie dolary, a jeśli zajdzie potrzeba — nawet życie, żeby tylko spłacić „święty dług" wobec króla. Na razie jednak, w oczekiwaniu na moment złożenia tych wielkich ofiar, Szelhi nie żałował sobie niczego, przebywając na dobrowolnym wygnaniu w Szwajcarii.

Kent, Stirling i Reynolds podejmują decyzję przeprowadzenia operacji „Hilton" w pierwszej połowie września 1970 roku. Do pomocy przy opracowywaniu tej akcji dywersji werbują dwóch angielskich oficerów kadrowych: Johna Millera i Jacka Thompsona. Przewidziano cztery stadia wykonania planu: zwerbowanie najemników, w miarę możliwości narodowości angielskiej, przerzut najemników na Maltę, wynajęcie statku i wreszcie lądowanie na wybrzeżu libijskim w rejonie Trypolisu, przy użyciu szalup spuszczonych z wynajętego statku.

Thompson i Miller wyruszają do Glasgow z zadaniem wykonania pierwszej części planu. Warunki werbunku najemników są jasne. Potrzebują ludzi w wieku od 25 do 40 lat, silnych, obdarzonych zimną krwią, zaprawionych do zabijania ludzi nie tylko przy pomocy broni, lecz także gołymi rękami. Pierwszeństwo mają byli najemnicy. Dwóch spośród nich musi znać tajniki użycia materiałów wybuchowych.

Suma, wypłacona w formie zaliczki przy podpisywaniu umowy jest dostatecznie wysoka, żeby utwierdzić najemników w przekonaniu, iż gra jest warta świeczki. Po zakończeniu całej operacji każdy z jej uczestników ma otrzymać po 5 tysięcy dolarów. Jest to przyzwoite wynagrodzenie za jedną noc „pracy"...

Następnie Miller i Thompson udają się do Trypolisu, gdzie prowadzą szczegółową penetrację miejsca przyszłej operacji i ustalają ostateczny plan działania. Oglądają nie tylko więzienie, lecz także wybrzeże, wykrywając przy tej okazji, 25 km od Trypolisu, bezludną plażę bardzo dogodną do lądowania. Tymczasem Kent kieruje Reynoldsa na Maltę, gdzie ma on zapiąć na ostatni guzik przygotowania do przyjęcia najemników. Jednakże gadulstwo awanturnika z Południowej Afryki i jego skłonność do odwiedzania podejrzanych lokali rozrywkowych psują wszystko. Brytyjskie służby wywiadowcze dają Stirlingowi do zrozumienia, że „sprzeciwiają się kategorycznie udziałowi brytyjskich poddanych" w podobnej awanturze. Kent, zdając sobie sprawę jak niebezpieczny jest konflikt z Intelligence Service, podporządkowuje się decyzji wywiadu. Rozwiązuje skompletowany już oddział najemników i niezwłocznie leci samolotem do Francji, żeby zwerbować tam nowych najemników. Ze starego składu pozostają tylko Miller i Thompson, zdecydowani ryzykować do końca. We Francji odszukuje Kent swego starego znajomego, niejakiego „Leona", który obiecuje mu 25 „chłopców", gotowych do wykonania każdej „specyficznej" pracy.

Warunki werbunku pozostają bez zmian. Ale francuscy najemnicy, uważając siebie za asów w tej specjalności, czego — jak mówią — dowodzą ich wyczyny w Algierii i Kongo, żądają by owych 5 tysięcy dolarów złożyć na ich nazwiska w jednym z banków szwajcarskich przed rozpoczęciem operacji. Ponadto wywierają nacisk, żeby Szelhi wziął udział w akcji wraz z nimi w charakterze pewnego rodzaju gwaranta, że cała operacja „Hilton" nie jest pułapką, i że na libijskim wybrzeżu nie czeka na nich zasadzka. Szelhi, chcąc nie chcąc, godzi się na ten warunek i jest gotów do wzięcia udziału w operacji wraz z towarzyszącym mu przyjacielem, ukrywającym się pod pseudonimem „William".

JERZY CZECH

■ ALGIERSKI SZCZYT
■ KISSINGER ZNÓW NA BL. WSCHODZIE
■ O ZAKAZ BRONI CHEMICZNEJ

Życie międzynarodowe toczy się wartko i komentator co tydzień staje przed problemem: które z wydarzeń przypomnieć Czytelnikowi i wyjaśnić ich znaczenie. Najczęściej spośród licznych wybiera się te, które ilustrują umacniające się lub słabnące tendencje bądź też mogą rychło mieć swój ciąg dalszy. Jeśli kierować się takimi kryteriami wyboru — tym razem w pierwszej kolejności skomentować trzeba **algierski szczyt krajów członkowskich OPEC,** pierwszy w 15-letniej historii tej organizacji.

W stolicy Algieri przez trzy dni **obradowali szefowie 13 państw — producentów ropy naftowej.** Zastanawiali się, jakiej udzielić odpowiedzi na propozycję zwołania konferencji energetycznej z udziałem wytwórców i konsumentów ropy. Ktoś może zapytać: czy to rzeczywiście tak wielki problem? Przypomnijmy więc w skrócie, jak doszło do propozycji konferencji...

Wiele już napisano o kryzysie paliwowym w świecie. Ujawnił się on z całą mocą pod koniec 1973 roku, a jego zewnętrznym wyrazem był wzrost ceny ropy o 400 proc. Kraje, produkujące ropę, co więcej wykorzystały swoje bogactwo jako środek nacisku na państwa imperialistyczne, popierające politykę Izraela. Zaskoczone sytuacją kraje zachodnie, importujące ropę, nie działały solidarnie. Z czasem jednak zebrały siły i częściowo skonsolidowały swe działanie. Na tym etapie **padła propozycja, aby zwołać naradę producentów i importerów ropy** i poświęcić ją wyłącznie problemom energetycznym. Zdania wśród producentów co do udziału w tej konferencji były podzielone i szczyt w Algierze miał przynieść ostateczną odpowiedź.

Tak też się stało. **W deklaracji krajów członkowskich Organizacji Eksporterów Ropy Naftowej jest zawarta pozytywna odpowiedź na tę propozycję.** Wyznaczono nawet państwa, które reprezentować będą OPEC na spotkaniu przygotowawczym do tej konferencji. Są to: Algieria, Iran, Arabia Saudyjska i Wenezuela. Jednakże zgoda na zwołanie omawianej konferencji nie jest bezwarunkowa. Zdaniem państw zrzeszonych w OPEC **konferencja ta powinna w sposób równorzędny rozpatrywać palące problemy wszystkich zainteresowanych stron,** jej porządek dzienny nie może obejmować tylko problemów energetycznych. Innymi słowy — chodzi o to, aby w nawiązaniu do ubiegłorocznej nadzwyczajnej sesji ONZ, poświęconej zagadnieniom surowcowym, przedyskutować je pełniej.

W tej kwestii, jak i innych, **szefowie państw naftowych wykazali pełną jednomyślność.** Potępili wszystkie groźby i szantaże, zapowiadając, że działać będą solidarnie przeciwko tym, którzy chcieliby swoich interesów bronić także przy użyciu siły. Aluzja jest oczywiście bardzo czytelna — chodzi tu o znane wypowiedzi amerykańskich mężów stanu, z których wynika, że USA „przymuszoną" sytuacją nie zawahałyby się sięgnąć do siły militarnej, aby tylko zapewnić sobie dostawy ropy naftowej.

Kraje eksportujące ropę oddaliły też zarzut, chętnie stawiany im w rozwiniętych państwach kapitalistycznych, jakoby to one — swoimi decyzjami o podwyżce cen ropy — wprowadziły gospodarkę światową w niepokojący stan. **Ceny ropy mogą być ustabilizowane, ale na rozsądnym poziomie, odpowiadającym cenom produktów z niej wytwarzanych.**

Decyzje algierskiego szczytu mogą mieć dalekosiężne następstwa i dlatego spotkanie to należy uznać za ważne wydarzenie międzynarodowe.

Z rejonu bliskowchodniego odnotujmy kolejną podróż H. Kissingera. Tuż przed jej podjęciem w prasie zachodniej wiele pisało się o możliwości nowego porozumienia o rozdzieleniu wojsk egipsko-izraelskich na Synaju. Stwierdzaliśmy już na tym miejscu, że obecność doraźnych sił ONZ na Bliskim Wschodzie jest czynnikiem, sprzyjającym zapobieżeniu konfliktu. Nie rozwiązuje to jednak problemu. **Droga do tego prowadzi przede wszystkim przez wznowienie prac genewskiej konferencji pokojowej.**

Drugi etap Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, której obrady toczą się w Genewie, wiedeńskie rokowania na temat ograniczenia zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej oraz radziecko-amerykańskie rozmowy SALT II — wyparły nieco z komentarzy prace Komitetu Rozbrojeniowego. Tymczasem przed kilku dniami wznowione zostały jego obrady z udziałem przedstawicieli 31 już państw.

Na porządku dziennym wiosennej sesji znajduje się m. in. **zakaz stosowania broni chemicznej.** Ten problem dyskutowany był w roku ub., ale nie osiągnięto zadowalającego postępu. Przypomnijmy, że złożony przed laty projekt przez kraje socjalistyczne zakładał zakaz broni bakteriologicznej i chemicznej, ale zrealizowany został dotychczas tylko w części pierwszej. Czy łączy się nadzieję z obecną sesją? Obserwatorzy obrad wyrażają ostrożny optymizm, uzasadniony pewnym zbliżeniem stanowisk.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

REMANENT

Ten tytuł proszę traktować przenośnie. Remanentem bowiem nazywam chwilę refleksji nie nad widokiem rzeczywistości z telewizyjnego ekranu, lecz nad tym, co się o tym widoku potem pisze. Będzie chodziło zatem o reguły działalności zwanej — czy nie na wyrost — krytyką telewizyjną. Luksus myślenia metakrytycznego wydaje mi się koniecznym zabiegiem higienicznym, który w recenzenckie poczynania winien wnieść racjonalny porządek. Problem to o tyle istotny, że w żadnej innej dziedzinie krytyki nie znajdziemy takiej naiwnej bezradności w sferze przedmiotu, metody i celu rozważań jak tutaj właśnie. Recenzja telewizyjna bywa u nas iście augiaszowym gatunkiem publicystyki kulturalnej.

Brak szerszych założeń powoduje swoisty styl sprawozdawczy, a oceny feruje się z ramienia kawiarnianego gustu. Znane powiedzenie Irzykowskiego o krytyku, że powinien być inteligentny, zawiera tylko połowę prawdy, choć z pewnością tę ważniejszą. Przyczyna tej beztroski umysłowej, z jaką uprawia się u nas recenzjowanie telewizyjne wynika z powszechnego przekonania, że jedyne wtajemniczenie w TV polega na umiejętności włączenia i wyregulowania telewizora. A poza tym „koń, jaki jest, każdy widzi", by przypomnieć celną uwagę encyklopedysty Chmielowskiego. Zresztą podobna sytuacja, choć mniej drastyczna w praktyce panuje w krytyce filmowej, gdzie często kompetencje również zależą od dobrego samopoczucia.

Winę za ten stan rzeczy upatrywałbym w masowości odbioru telewizji (jak i filmu), która jako dobro powszechne zachęca wszystkich do mówienia na swój temat tak, jak mówimy o pogodzie. To po pierwsze. Po drugie natomiast, brakuje w miarę kompletnej i spójnej teorii telewizji, która stanowiłaby konieczny rezerwuar poglądów na istotę swoistości TV jako środka społecznej komunikacji. Dotychczasowe badania, które na ten temat próbuje się prowadzić nie posiadają właściwego rezonansu społecznego, a ich wchodzenie w szerszy obieg wymaga dynamicznego ich rozwoju. Z kolei badania o charakterze bardziej zorganizowanym nad socjologią odbioru posiadają swoją użyteczność tylko dla producenta, ale i tak jest to użyteczność ograniczona, ponieważ operuje czysto ilościowymi kryteriami pomiarów.

W tej sytuacji brak teoretycznej świadomości tego, czym jest telewizja nie sprzyja krytykowi, który w najlepszym wypadku sam jest zmuszony produkować uogólnienia na użytek przeprowadzanego wywodu. Nawiasem mówiąc, krytyka filmowa również najczęściej odbywa się bez teoretycznych rygorów i swoją reputację ratuje jedynie inteligencją swoich koryfeuszy. Ale już w czołowej krytyce literackiej dyscyplinujący wpływ teorii literatury jest bardzo widoczny. Jednakże położenie względem przedmiotu rozważań domniemanego krytyka telewizyjnego jest znacznie trudniejsze od sytuacji krytyka filmowego, a tym bardziej literackiego. Tamci dysponują elementarną pewnością co do tożsamości swoich dociekań: jest nim przedmiot artystyczny, który poddają różnorakim testom interpretacyjnym. W filmie owa pewność na temat artystyczności nie jest bezwarunkowa — film sztuką bywa. Ale nawet wtedy, kiedy dane dzieło sytuuje się poniżej poziomu artystycznych oczekiwań można je sprawdzić pod względem poziomu warsztatowej perfekcji w ramach gatunków popularnych, których reguły są doskonale znane. Przed telewizorem ta pewność przedmiotu zaciera się. Pół biedy, kiedy oglądamy film telewizyjny, gorzej już, kiedy pojawia się spektakl telewizyjny w stylu „Topornego" Królikiewicza, lecz kłopot zaczyna się np. przy takich programach jak „Świadkowie". Dotychczasowe teorie telewizyjne skupiające się na fenomenie tzw. specyfiki telewizyjnej są wielce bałamutne, gdyż owa specyfika jest uwarunkowana ostatecznie jedynie chwilowymi ograniczeniami technicznymi. Jak zatem uprawiać krytykę telewizyjną, aby dochować wierności temu przymiotnikowi? Oto zadanie na przyszłość.

Pomińmy je obecnie, aby zasygnalizować pewne dylematy tematyczne, które czyhają na telewizyjnego recenzenta. Wynikają one z niejednorodnego programu telewizji, której składniki treściowe należą do kultury albo do publicystyki społecznej, politycznej lub do czystej informacji. Jeśli np. obiektem wypowiedzi recenzenckiej będzie teatr telewizyjny, to o bogactwie krytycznego kontaktu z nim decydują tropy kultury, które krytyk potrafi zeń wysnuć, zrozumieć i ocenić. Jest to sfera sensów ideologicznych, politycznych, moralnych, psychologicznych etc. Jeśli natomiast zainteresuje go program publicystyczny o charakterze interwencyjnym np. „Panorama" to winien zająć wobec takiej propozycji postawę polemiczną, wypowiedzieć się o poruszonym problemie z pozycji również publicystycznych. Itd., itd...

Tych kilkadziesiąt słów nie stanowi recepty na recenzję telewizyjną, lecz jedynie próbuje wskazać na pewne nieoczywistości jej pisania, nad którymi — jak się zdaje przechodzi się w naszej prasie do porządku dziennego, który dyktuje program TV. A ponieważ ja akurat w minionym tygodniu w tym programie nie znalazłem nic godnego uwagi, więc napisałem właśnie o tym.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KOLEKCJONERSTWO

CO TO JEST KOLEKCJONERSTWO?

Co to jest kolekcjonerstwo? Na czym ono polega? Odpowiedź wydaje się łatwa. Każdy tak często spotyka się z różnymi formami kolekcjonerstwa, że zapewne posłuży się przykładem. Powie, że jest to zbieranie na przykład znaczków pocztowych, etykiet zapałczanych, płyt gramofonowych, ludowej ceramiki, książek... W potocznym języku przez termin „kolekcjoner" rozumie się osobę oddającą się nieszkodliwej pasji zbierania jakichś przedmiotów. Kolekcjonerstwem będzie więc wszystko, co się z tym zjawiskiem wiąże.

Spróbujmy jednak określić rzecz w sposób bardziej ścisły. Z pomocą przyjdą słowniki. Wyraz „kolekcjonerstwo" pochodzi od nazwy „kolekcja", ta zaś jest pochodzenia łacińskiego i oznacza zbiór jakichkolwiek przedmiotów tego samego rodzaju, posiadających wartość naukową, artystyczną, historyczną lub też nie posiadających takiej wartości, ale zawsze gromadzonych z pewną myślą i zamiłowaniem. Kolekcjoner zaś, to ten, co tworzy kolekcję, czyli zbieracz. Kolekcjonerstwo jest więc zamiłowaniem do tworzenia kolekcji.

W rozumieniu tych definicji mieści się bardzo szeroki zakres pojęciowy. Kolekcjami są zarówno zbiory muzealne, wszelakie inne zbiory naukowe, jak i amatorskie zbiory najdziwniejszych przedmiotów, które nikogo poza samym zbieraczem w gruncie rzeczy nie interesują. W pojęciu tym mieści się więc ogromny gmach leningradzkiego Ermitażu z bezcennymi zbiorami sztuki, ale jednocześnie i kilkanaście znaczków pocztowych schowanych przez dziecko w małym klaserze. Mieści się w tym pojęciu całe British Museum z największymi bodaj na świecie zbiorami starożytności, ale także i kilkadziesiąt etykiet zapałczanych pracowicie odklejonych z pudełek przez emeryta.

Kolekcjonerstwo ma bardzo dawne tradycje. Znane było w starożytności, istniało w średniowieczu, rozpowszechniło się w czasach nowożytnych. Dawniej zajmowali się nim niemal wyłącznie ludzie zamożni. Aż do XIX wieku kolekcjonerstwo obejmowało przede wszystkim dzieła sztuki, drogie kamienie, książki tłoczone w niewielkiej ilości egzemplarzy. Oczywiście, po to, by zbierać z pasją takie przedmioty, trzeba było mieć sporo czasu i pieniędzy. Natomiast kolekcjonerstwo naszej doby, takie, jakie rozpowszechnia się żywiołowo od około stu lat, jest zjawiskiem na wskroś demokratycznym. Przedmioty zbioru są na ogół tanie, łatwo dostępne. Zbiory zaś dawnego typu prowadzone są obecnie prawie wyłącznie na użytek społeczny przez instytucje państwowe.

Kolekcjonerstwo ma więc dziś funkcję społeczną o bardzo rozległej skali. Jest częścią nauki, ma znaczenie utylitarne, ale i w osobistym życiu milionów ludzi odgrywa niekiedy ważną rolę.

EKSLIBRYSY

Pierwsze klasyczne ekslibrisy pojawiły się w Europie około 1470 r. Posiadaczami bibliotek byli wówczas głównie bogaci feudałowie. Stąd też na pierwszych „znakach własności" wyobrażone były szlacheckie herby. W XVI w. wykonywaniem ekslibrisów (w technice drzeworytniczej lub miedziorytniczej) zajmowali się tacy mistrzowie, jak Dürer, Cranach i Amman. Dzięki nim te małe formy grafiki użytkowej awansowały do rangi artystycznego rzemiosła, a nawet sztuki.

(...) Na zachodzie Europy już na przełomie XIX i XX w. powstały pierwsze kluby zbieraczy ekslibrisów. Wkrótce rozwinęła się także bardzo ożywiona wymiana korespondencyjna. Kolekcjonerzy rozpoczęli również organizowanie wystaw, a nawet kongresów. III Kongres Europejski odbył się w 1955 r. w Antwerpii, a w 1960 r. VIII Kongres w Lipsku (NRD), po raz pierwszy w kraju socjalistycznym.

Kolekcje ekslibrisów, oprócz osób prywatnych, prowadzą także muzea. W Polsce na przykład piękne zbiory mają Biblioteka Muzeum Zamkowego w Malborku, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynie, Dział Zbiorów Specjalnych Miejskiej Biblioteki w Łodzi, Muzeum Historii na Wawelu i wiele innych. Od czasu do czasu urządza się specjalne wystawy lub ekspozycje czasowe w muzeach.

W Łodzi bodaj naciekawsze zbiory ekslibrisów posiadają m.in. Janusz Dunin, Michał Kuna, Andrzej Kempa, czy Henryk Maszewski. Odbyło się także w Łodzi szereg ciekawych wystaw, głównie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

BANKNOTY

Wyraz — banknot — pochodzi od niemieckiego Banknote, dosłownie nota bankowa. Kiedyś zresztą używaliśmy w języku polskim nazwy bilet bankowy lub bankocetel. A więc banknoty są to znaki pieniężne, wydawane przez poszczególne banki. Czym zaś jest bank?

(...) Pierwsze banknoty były po prostu pokwitowaniami. Bank wystawiał pisemne zobowiązanie, że na żądanie wypłaci określoną sumę pieniędzy w złocie. Takie pokwitowania lub weksle były w użyciu już w XVII w. Banknot nie był jeszcze pieniądzem, ale miał istotne znaczenie. Dlatego panujący zaczęli nadawać niektórym banknotom wyłączne prawo drukowania banknotów. Takie banki nazywamy emisyjnymi. Pierwszy na świecie otrzymał taki przywilej Bank Szwedzki w 1668 r., następny — Bank Angielski w 1694 r. Pierwsze banknoty w Rosji wydane zostały w 1769 r. za panowania Katarzyny II. Były one drukowane na cienkim papierze, posiadającym dużą ilość tzw. znaków wodnych. Już wówczas banki strzegły się przed fałszerstwem, stosując ukryte znaki, zawiły rysunek, używając specjalnego papieru.

(...) Na większą skalę wprowadzono banknoty w 1790 r. we Francji podczas wielkiej rewolucji. Wraz z falą prądów rewolucyjnych, które obiegły całą niemal Europę, pomysł wypuszczania asygnat bankowych dotarł i do krajów, które miały do tego czasu wyłącznie pieniądz kruszcowy. Tak było m. in. i w Polsce. Pierwsze banknoty w naszym kraju wydrukowano w 1794 r. w czasie insurekcji kościuszkowskiej.

(...) Niektóre z nich są rarytasami kolekcjonerskimi. Obecna antykwaryczna cena asygnat kościuszkowskich o nominalnej wartości 1 zł, 500 zł i 1000 zł dochodzi do kilku tysięcy złotych za sztukę.

AUTOGRAFY

Gromadzenie autografów jest dość starym rodzajem kolekcjonerstwa. Zaczęło się już w końcu XVI w. we Francji i Anglii, a w drugiej połowie XVIII w. także i w Niemczech. Szybko jednak autografy stały się przedmiotem handlu. Pierwsza publiczna licytacja (zbiór autografów kardynała Richelieu) odbyła się w 1801 r. w Paryżu. Od tego czasu handel autografami znacznie się rozwinął, wielu antykwariuszy (niekiedy po prostu spekulantów) w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji ciągnie z tego handlu spore zyski. Od czasu do czasu prasa przynosi rewelacyjne wiadomości: listy Napoleona lub Ernesta Hemingwaya zostały sprzedane za sumę sięgającą wielu tysięcy dolarów. Czasem jednak okazuje się, że sprzedane listy były sfałszowane... Posiadanie bowiem autografów, to rodzaj snobizmu. Wykorzystują to oszuści.

Obecnie istnieje również naukowe kolekcjonerstwo autografów. Zbiory rękopisów, notatek, listów wybitnych artystów, polityków gromadzone są w państwowych lub uniwersyteckich archiwach i bibliotekach. Dzięki takim zbiorom naukowcy opracowują nowe wersje życiorysów sławnych ludzi, naświetlają twórczość pisarzy. Zbiory autografów posiadają w Polsce wszystkie ważniejsze biblioteki, a najciekawszą kolekcję ma Muzeum Narodowe w Warszawie.

FILUMENISTYKA

Zbieranie etykiet z zapałek (filumenistyka) to obecnie jedna z najpowszechniejszych form kolekcjonerstwa.

(...) Popularność filumenistyki jest zjawiskiem dość nowym. Przed wojną nie słyszało się o niej wcale, choć działali pojedynczy, rozproszeni zbieracze. Początki tego kolekcjonerstwa sięgają lat pierwszej wojny światowej. Uprawiano je głównie w Anglii, Francji i Belgii.

Rzecz jest bardzo dziwna. Przecież etykieta zapałczana jest równie stara jak znaczek pocztowy. Pierwszy patent na produkcję zapałek wydano w 1832 r. w Londynie na nazwisko Samuela Jonesa. W połowie XIX w. produkowano już zapałki w wielu krajach Europy. Pierwotnie były to zapałki z łebkami z żółtego fosforu, o właściwościach trujących. Dopiero w 1848 r. prof. Boettger z Frankfurtu zarejestrował metodę wyrabiania zapałek nieszkodliwych dla ludzi.

(...) Przed drugą wojną światową pojawia się na etykietach nowy element — mała forma graficzna. Oczywiście reklama była także rodzajem grafiki, ale na przykład przedwojenna seria strojów ludowych nie miała celu reklamowego. Chodziło jedynie o samo ozdobienie pudełek, o nadanie im waloru estetycznego. W tym samym czasie na zachodzie Europy produkuje się wiele serii etykiet wyraźnie przeznaczonych dla kolekcjonerów. Mamy więc ostatnią fazę ewolucji — skoro rozwija się zbieractwo, firmy spekulują na tej niewinnej ludzkiej słabości.

(...) Oczywiście fabryki zapałek rzucają na rynek pewne ilości pudełek z nalepionymi etykietkami nowych serii — na przynętę. Reszta, w ogromnych nakładach, sprzedawana jest w postaci małych, kolorowych papierków, które nigdy nie zetknęły się z pudełkiem zapałek.

Jest to więc swego rodzaju „degeneracja" filumenistyki. Zbieracze nie gromadzą już autentycznych etykiet, lecz ich odpowiedniki. Oczywiście nie we wszystkich krajach tak się dzieje. Tam gdzie przemysł zapałczany stoi na mocnych nogach, na przykład w Polsce, gdzie możliwości eksportu są wielkie, tam fabryki niechętnie zgadzają się na sprzedaż czystych, nie używanych etykiet. Zresztą w Polsce wszystkie etykiety znajdują się także i na pudełkach.

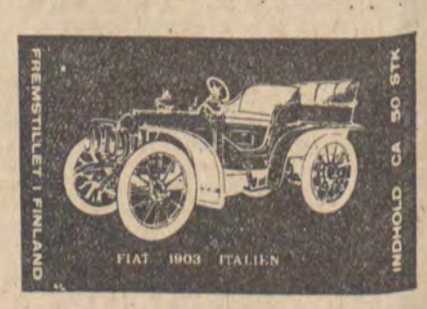

Opracowano na podstawie książki Przemysława Burcharda i Eugeniusza Gołowina „Moje hobby".

TEATR

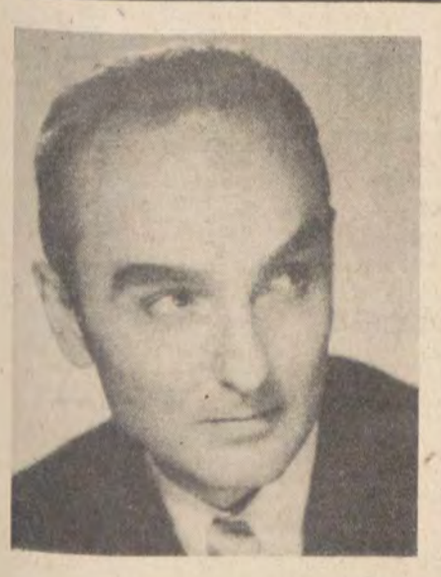

OPERA VIVA

Z kierownikiem artystycznym Teatru Wielkiego – BOGUSŁAWEM MADEYEM rozmawia Piotr Słowikowski.

— Teatr Wielki w Łodzi należy do najlepszych teatrów operowych w Polsce. Ta opinia ugruntowała się szczególnie po 1967 r., tj. po rozpoczęciu pracy w nowym gmachu przy placu Dąbrowskiego. Co według Pana konstruuje styl repertuaru i profil Teatru Wielkiego? Jakie zamierzenia artystyczne przyświecają pracy teatru w roku bieżącym?

— Pragniemy by nasz repertuar nie powielał pozycji repertuarowych innych scen operowych kraju, a także by dominowały w nim dzieła kompozytorów polskich. Taka jest nasza ogólna koncepcja. Jednak dokładne uprofilowanie repertuaru nie jest możliwe na tyle, na ile da się to określić w teatrach dramatycznych. A to ze względu na ograniczenia wynikające z możliwości dysponowania konkretnymi solistami, głosami, które w poważnym stopniu determinują repertuar. Dobór pozycji winien uwzględniać, obok dzieł nie znanych (np. przygotowywana ostatnio prapremiera polska „Orfeusza" Monteverdiego), tzw. żelazny repertuar operowy i baletowy. To jest konieczne przede wszystkim dla rozwoju artystycznego wszystkich zespołów. Dlatego trzeba wystawiać np. Mozarta, aby zapewnić niejako higienę odtwórczą solistów, orkiestry, chóru. Zachowując właściwą proporcję między repertuarem klasycznym, romantycznym i współczesnym gwarantuje się prawidłowy rozwój wykonawców a także odbiorców. Konwencja opery nie jest łatwa i nie zawsze przyjmowana jest od razu z właściwym zrozumieniem. Trzeba się do niej przyzwyczajać, nauczyć się jej, by w niej wreszcie rozsmakować. Dlatego też proponując opery różnych epok i twórców, wychowujemy wciąż nowych widzów, świadomych bogactwa sztuki teatru muzycznego.

Razem z dyrektorem Wojciechem Boczkowskim pragniemy by nasz teatr nadal utrzymywał szerokie kontakty ze scenami operowymi w kraju i na świecie. Prowadzimy rozmowy dotyczące wymiany przedstawień z Teatrem Wielkim w Warszawie, z Operą w Poznaniu i Gdańsku. W kwietniu, w ramach Dekady Kultury Radzieckiej wystąpi u nas balet imienia Siergieja Kirowa z Leningradu, a także radzieccy soliści: Władimir Atłantow i Jewgienij Niestierienko. Planowana jest współpraca naszego teatru z Operą w Brnie, kontynuowana współpraca z Operą Lipską. Teatr, w roku bieżącym, weźmie udział w Festiwalu Operowym w Kilonii (RFN). Wkrótce ciekawostką dla łódzkich melomanów będą występy kubańskiego solisty Ramona Calzadilli, który wystąpi w partii Janusza w „Halce" oraz w „Kniaziu Igorze", w partii tytułowej. Tak aktywne kontakty artystyczne wpływają pozytywnie na zespół naszego teatru, a także są z zadowoleniem przyjmowane przez łódzką publiczność.

— Wizyty Teatru Wielkiego na obcych scenach zapewniają mu światową sławę. Przypomnijmy — sukcesy Teatru w RFN, Finlandii, Jugosławii, Grecji, sukcesy solistów i Pana jako dyrygenta w Duesseldorfie i Wiesbaden. To tylko kilka przykładów — wizytówek Teatru Wielkiego. Równocześnie warto chyba wspomnieć o debiutach, bo i na takie nie może narzekać łódzka scena operowa. Jakie debiuty zapowiedzieć może Pan na rok bieżący?

— Za pulpitem dyrygenckim „stoi już mocno" Tadeusz Kozłowski. Parę dni temu debiutował w „Sprzedanej narzeczonej" Kazimierz Wiencek, student IV roku PWSM w Warszawie w mojej klasie dyrygentury. Interesująco zapowiada się praca młodych choreografów — Tomasza Gołębiowskiego i Jerzego Makarowskiego. Rok bieżący przynosi równie interesujące debiuty wokalne: Mirosławy Świerszcz, Bożeny Porzyńskiej, Stefanii Kałużanki i Andrzeja Malinowskiego. Wierzę, że od nich wymagać będzie można wszystkich tych umiejętności jakie cechują współczesnego solistę operowego.

— Czy również i umiejętności aktorskich, a więc nie tylko wokalnych?

— Oczywiście. Zresztą dziś już powinniśmy używać określenia aktor operowy, a nie śpiewak czy solista operowy. Praca w teatrach muzycznych wymaga coraz większych umiejętności aktorskich. Ten proces w naszym przypadku rozpoczął się już dawno, że wymienię tu choćby przedstawienia: „Człowiek z La Manczy", „Krakowiacy i górale", czy „Sprzedana narzeczona". Wielu naszych artystów spełnia wymagania aktorskie, jakie stawiają przed nimi reżyserzy. Rzecz jasna zadania w konwencji operowej. Aktor w teatrze dramatycznym ma oczywiście większe możliwości i swobodę gry, u nas ograniczony jest ścisłym przebiegiem partytury. Musi również uwzględniać swoje możliwości fizyczne, tak, by na przykład, nadmierny ruch nie wpłynął ujemnie na sprawy wokalne.

— Jak, według Pana, przedstawia się kwestia reżyserii operowej? Czy ostatnie lata wniosły w tym względzie coś nowego do teatru operowego w ogóle? Czy nadal jest to sprawa zaniedbana, źle ustawiona?

— Lia Rotbaumówna, Aleksander Bardini — to wzory reżyserów operowych. Czasem nieszczęściem jest, gdy reżyser, bez znajomości warsztatu sceny operowej, posługuje się w swej pracy tylko samym librettem i buduje spektakl jedynie w oparciu o tekst słowny, nie biorąc pod uwagę (nie słysząc!) napięć dramatycznych, proporcji muzycznych. Leon Schiller powiedział, że „opera i dramat to dwa oblicza tego samego bóstwa", co nie oznacza, że wychodząc od dramatycznych wartości tekstu opery, dobrze się ją zrealizuje scenicznie. Sztuka operowa jest syntezą wielu sztuk poszczególnych: wokalistyki, symfoniki, tańca, plastyki, aktorstwa itd. Charakter i koloryt poszczególnych elementów tej całości określa partytura. Ona jest bazą tej całej skomplikowanej konstrukcji. Tak więc, reżyser operowy winien pracę nad spektaklem zaczynać od dokładnego zaznajomienia się z partyturą. Niestety takich reżyserów jest niewielu... Dlatego też nie ograniczamy się do realizatorów polskich, nie zapraszamy inscenizatorów zagranicznych. I tak, w bieżącym sezonie „Sprzedaną narzeczoną" wystawiliśmy przy współpracy Czechów: reżyseria V. Veznik, scenografia W. Stolfa, kostiumy: A. Vobejda, choreografia R. Karhanek. „Orfeusza" realizują artyści z Duesseldorfu: inscenizacja i choreografia E. Walter, scenografia H. Wendel, kostiumy P. Halmen. „Carmen" reżyseruje E. Sistig. „Barona cygańskiego" reżyseruje W. Welt. „Gajane" Chaczaturiana opracuje choreograf z Leningradu — B. Ejfman, który w następnym sezonie pracować będzie nad „Zaręczynami w klasztorze" wraz z dyrygentem D. Kachidze, reżyserem G. Meliwą i scenografem T. Murwanidze z Tbilisi.

— Co zapewnia teatrowi operowemu stałą popularność i obecność w życiu kulturalnym współczesnego człowieka?

— Dobra praca wszystkich zespołów, a przede wszystkim świetni artyści, piękne głosy — słowem doskonałe wykonanie, no i oczywiście urozmaicony repertuar i wyrobiona publiczność.

FILM

„LINIA"

Prapremiera filmu **Kazimierza Kutza „LINIA"** zrealizowanego na motywach powieści **Jerzego Wawrzaka,** odbyła się 5 marca w Sieradzu. Okoliczność ta godna jest podkreślenia, podobnie jak przypomnienie, iż prapremiera „Ziemi obiecanej" Andrzeja Wajdy miała miejsce w Łodzi. Wiązanie tego rodzaju uroczystości ze środowiskami, dla których spotkanie z proponowanym dziełem ma znacznie bardziej osobisty charakter, uważam za znakomity pomysł. Nie chodzi tu zresztą o chwyt reklamowy, choć i on ma swój walor. Istotniejsze jest to, że film zaczyna swe ekranowe czyli artystyczne życie w miejscu i wśród ludzi, których przeszłość lub współczesność leży u źródeł jego istnienia. W sztuce kina moment wkroczenia w obieg życia kulturalnego wydaje się być istotniejszy, niż w sztuce teatru, w której stały i bezpośredni kontakt z widzem jest prawem i szansą zespołu realizatorskiego i aktorskiego. Ekranowy żywot raz określonego intencją i talentem jego twórców filmu jest już później od nich niezależny. Twórcom filmowym ów niedosyt kontaktu z odbiorcą rekompensować mogą jedynie okazjonalne, środowiskowe spotkania, a także wspomniany wyżej moment premiery, czyli narodzin życia już niezależnego.

Sieradz stał się miejscem prapremiery **„Linii" Kazimierza Kutza** nie tylko dlatego, iż w tym mieście i pobliskiej Warcie kręcono zdjęcia do tego filmu. Miejsce tej uroczystości określił temat i bohaterowie filmu „Linia". Jego akcja toczy się bowiem w tzw. Polsce powiatowej. Kto więc lepiej niż jej mieszkańcy ocenią autentyzm konfliktów i realiów, których obraz film niesie. Wiedza recenzenta jest tu zatem na pewno niepełna, jej źródłem pozostaje pewna świadomość obywatelska i związane z nią pryncypia. Spojrzenie na film określać też muszą kryteria artystyczności, czynnik towarzyszący zawodowej działalności recenzenta.

Polska powiatowa niezwykle rzadko staje się w naszym fabularnym filmie przedmiotem twórczej penetracji — to prawda. Niemniej, jeszcze ważniejsze wydaje się to, że Kazimierz Kutz adaptując powieść Jerzego Wawrzaka, podjął temat, którego obecności w naszym kinie nie mieliśmy okazji dotąd odnotować. Głównym bohaterem filmu jest działacz partyjny, on zatem określa główną problematykę „Linii" — zagadnienie politycznej i moralnej odpowiedzialności jednostki, na której spoczywa obowiązek kierowania życiem społecznym swego środowiska w jego wymiarze politycznym, ekonomicznym i moralnym. Wobec generalnego w kinie naszym ubóstwa problematyki współczesnej, podjęcie przez Kutza zagadnienia tak złożonego widzieć należy jako krok zmierzający ku przerwaniu bariery tzw. tematów trudnych, to znaczy silniej określonych społeczną odpowiedzialnością aniżeli na przykład refleksje psychologiczne i obyczajowe, towarzyszące obrazom człowieka z naszej współczesności.

Bohater powieści Wawrzaka i filmu Kutza — Michał Gorczyn, sekretarz Komitetu Powiatowego nie jest postacią, która ułatwiałaby podjęcie wspomnianych zagadnień. Jego predyspozycje charakterologiczne, a także konstrukcja jego losów wiodła najpierw pisarza, a potem filmowca w kierunku rysunku sytuacji i konfliktów, w których problem sprawowania władzy i odpowiedzialności moralnej członków partii jawi się w sposób wyrazisty i dyskursywny.

Postać Gorczyna w filmie poznajemy już w sytuacji ostro zarysowanego konfliktu, którego źródła zamierza poznać, wydelegowany przez KW dla zbadania sprawy, przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej, stary, doświadczony działacz, Juzala. Jego rozmowy prowadzone z ludźmi reprezentującymi ogranizację partyjną, władze administracyjne miasteczka, a także kierownictwa miejscowych zakładów przemysłowych prowadzą z jednej strony do odsłonięcia owych źródeł konfliktu między nimi a sekretarzem, z drugiej zaś strony stają się okazją do ujawnienia nie zawsze czystych, prywatnych interesów przeciwników Gorczyna.

Michał Gorczyn, któremu przed dwoma laty partia powierzyła obowiązek kierowania środowiskiem i naprawy błędów popełnionych przez poprzednika, działa niezwykle efektywnie. W okresie sprawowania przez niego władzy powiat począł legitymować się sukcesami dotąd nieobecnymi w tej społeczności. Jednocześnie swoista bezkompromisowość energicznego, pełnego pasji działacza wywołuje niechęć ludzi, którzy bądź czują się odsunięci od możliwości kolektywnego podejmowania decyzji, bądź wprost zagrożeni na swych stanowiskach. Zarysowuje się więc konflikt, u źródeł którego stoi prywata jednych, ale i żądanie większej demokratyzacji władzy drugich, niechęć pokoleniowa, ale także wyłącznie — osobista. Człowiek, który wierzy w słuszność swego postępowania, gdyż ono prowadzi do uzdrowienia panujących stosunków i właściwej realizacji zadań społecznych, powierzonych temu środowisku, zaczyna działać w osamotnieniu, znajdując poparcie jedynie wśród nielicznych.

Rozmowy Juzali i poszukiwania przybyłego do miasteczka dziennikarza, odsłaniając owe kulisy konfliktu, docierają również do sfery prywatnego życia Michała Gorczyna, prywatności, która w przypadku człowieka na jego stanowisku przestaje nią być. I nie jest to wyłącznie sprawa małomiasteczkowego środowiska, ostrzej ingerującego w prywatny świat swych współmieszkańców.

Gorczyn przeżywa osobisty dramat. Musi dokonać wyboru pomiędzy lojalnym i zgodnym z ogólnymi normami moralnymi życiem u boku żony, a miłością do kobiety, która, jak sam mówi, pozwoliła przeżyć mu nie tylko wielkie uczucie, ale i poznać samego siebie. Utwierdzić w wyborze linii drogi i postępowania. Dramat ten związany jest z poczuciem odpowiedzialności za los rodziny i drugiej kobiety, ale także ze świadomością owej wspomnianej nieprywatności własnego życia, które z racji pełnionej funkcji staje się swoistym modelem w oczach innych. Pojawia się więc w historii Gorczyna stały komponent problemu władzy — dylemat prawa do szczęścia osobistego w obliczu zadań wykraczających poza jednostkowy los.

Układ tych dwóch wątków historii Gorczyna, wytycza problematykę i dramaturgię filmu Kazimierza Kutza. Problematyka to niezwykle interesująca, co potwierdza sukces nagrodzonej w 1973 roku przez Ministra Kultury i Sztuki i adaptowanej dla potrzeb teatru, a także radia, powieści Jerzego Wawrzaka. Czy film Kazimierza Kutza poszerzając faktem adaptacji krąg czytelników książki Wawrzaka, dyskontuje sukces tej problematyki?

Na pewno trafiając do znacznie szerszego grona odbiorców niżeli może to uczynić książka czy teatr, daje płaszczyznę i szansę refleksji i dyskusji o sprawach, które nie są wyłącznie przypisane dylematom członków partii. I ten walor filmu niosącego problematykę nie podejmowaną dotąd przez nasze kino, jest oczywisty. Toteż ujawnienie jego słabości traktować trzeba, mając na względzie mądre przysłowie o „jaskółce, która nie czyni jeszcze wiosny".

Jest rzeczą znamienną, że Kutz czyniąc osią dramaturgiczną filmu rozmowy Juzali, dochodzącego prawdy o Gorczynie i jego współtowarzyszach, właśnie postać Juzali uczynił najpełniejszą. Obdarował go najcenniejszymi cechami doświadczonego działacza partii, ostrożnie poszukującego przejawów dobra i zła, znającego ludzkie słabości i umiejącego sterować ludzkim działaniem, ujawniać cechy, które można mądrze spożytkować dla ogólnego dobra.

Akcentuję tu postać Juzali, jedynego, poza dość niefortunną w filmie postacią dziennikarza, człowieka ukazanego w działaniu. Owo działanie jest bowiem w sztuce kina najsilniejszą stroną rysunku bohatera. I właśnie dlatego inne postacie „Linii", łącznie z jej głównym bohaterem, a więc centralnym przedmiotem zainteresowania widza, Gorczynem, są w jakiś sposób niepełne. Czytelnicy powieści Wawrzaka mają szansę dopełnić rysunek tych postaci, lepiej też znają motywację ich działań. Lecz przecież film nie tylko do nich jest adresowany. Stąd wiedza widza kinowego o bohaterach filmowej „Linii" nie jest pełna. Są to zresztą bohaterowie zbyt jednowymiarowi, uwaga ta dotyczy zwłaszcza przeciwników Gorczyna, co mimo woli upraszcza istotę konfliktu, którego jesteśmy świadkami. Dochodzenie prawdy o człowieku ni w życiu, ni w sztuce nie jest proste: sztuka prezentująca taką drogę musi zatem niezwykle precyzyjnie dawkować informacje i budzić emocje, których efektem byłaby intelektualna i moralna dyskusja z widzem. Kazimierz Kutz, jeden z nielicznych, który współczesność próbuje penetrować, dał się jednak nieco uwieść samej rodzajowości małomiasteczkowego środowiska.

EWA NURCZYŃSKA

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

SATYRA PRAWDĘ MÓWI?

Książki czyta się z reguły wolno — przywilej „połykania" książek przysługuje właściwie tylko kryminałom. Ale książkę Ryszarda Marka Grońskiego przeczytałem za jednym zamachem, choć jest to w gruncie rzeczy poważna praca historyczna, mimo że dotyczy sprawy tak atrakcyjnej jak satyra.

Ale ta książka jest atrakcyjna nie tylko siłą tematu. Składa się z dwu właściwie części — czterech szkiców Grońskiego o problemach satyry 1944—1956 oraz z obszernego wyboru tekstów — jak to informuje tytuł — „Od „Stańczyka" do STS".

Zacznę od tej drugiej części. Są tam teksty bez których nie można sobie wyobrazić polskiej satyry ostatniego ćwierćwiecza. Wertując różne pamiętniki, co i raz spotykałem wzmianki na temat słynnych utworów Minkiewicza („Do bardzo obecnie niezadowolonych"), Pasternaka („Słuchajcie", „Grunt to rodzinka"), Brudzińskiego i Marianowicza (słynny „Wywiad z Bartkiem", który zresztą sam kiedyś widziałem na estradzie ś.p. „Artosu")...

Na ogół jednak pamiętnikarze zafascynowani swoimi wspomnieniami, lub nie dysponujący oryginalnym tekstem nie cytowali owych głośnych utworów. Powoli więc dla czytającego pokolenia lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stawały się one mityczne, legendarne i... nieznane.

Marek Groński powyciągał owe teksty z roczników „Stańczyka" (mój Boże, kto dziś pamięta to pismo?), „Szpilek", z archiwów estrad i teatrzyków — przypomniał je ludziom, udowadniając, że większość z nich była i jest świadectwem naszej epoki, że niektóre śmieszą, inne wzruszają —a wszystkie czegoś tam istotnego uczą o naszej dalszej i bliższej współczesności. Jakże wzruszyła mnie piękna i gorzka „Piosenka dla Matki" Witolda Dąbrowskiego, piosenka, którą słyszałem z estrady STS gdzieś blisko dwadzieścia lat temu. Teraz, za sprawą tej książki wróciła znów do mnie, zadźwięczała nawet melodią, choć nie mogę już sobie przypomnieć wykonawcy.

Myślę, że wielu ludzi będzie miało możność spotkać się dzięki tej książce ze wzruszeniami i refleksjami młodości. To bardzo wiele, jeśli książka historyczna może dać nie tylko informację i tzw. walor poznawczy, ale po prostu i po ludzku wzruszyć.

Druga — bardzo istotna i bardzo ambitna część publikacji Grońskiego to cztery szkice, będące przeglądem twórczości satyrycznej i rozrywkowej lat 1944—1956. Lektura to również ciekawa, bowiem oprócz fury informacji (najczęściej mało znanych) przynosi ciekawe diagnozy i konstatacje. Analiza stanu i modelu satyry „lat pierwszych" oraz pewnych zawirowań, zaraz potem — jest przecież bardzo prawdziwym socjologicznie i politycznie zapisem naszej polityki w sferze kultury.

I zaraz wypływa nazwisko Tadeusza Borowskiego z jego słynnym referatem o zadaniach satyry. Przecież to nie komu innemu, ale właśnie Borowskiemu przypięto ów slogan, że „Satyra nie może być śmieszna"!

Groński jest uczciwym historykiem. Cytuje zasadnicze tezy referatu Borowskiego, z których wynika niezbity fakt, że wybitny pisarz wołał o co innego. Wołał w latach cukierkowej roześmianej satyrki o poszerzenie skali, o wzbogacenie satyry, o gorycz i gniew, o elementy rozumnego krytycyzmu. I wówczas to zagrożeni autorzy rozchichotanych kalamburków okrzyczeli Borowskiego doktrynerem, który zabronił się śmiać. Lata całe przetrwał ten mit krzywdzący wybitnego pisarza.

Ba, trwa do dziś. Do dziś także trwają kpinki z owego sztandarowego sloganu lat czterdziestych — „Nie matura lecz chęć szczera zrobi z siebie oficera". Marek Groński broni tego sloganu, pisząc, że osadzony w kontekście historycznym był to slogan rewolucyjny, wyrażający ducha epoki, unaoczniał szansę, jaką dano tym, którzy nie korzystali dotąd z dostępu do wiedzy — słowem był zapowiedzią awansu milionów, spośród których wyłonić się miały kadry nowej inteligencji. Biorąc ten slogan w obronę wykazał Groński więcej historycznej świadomości niż pamiętnikarze-dowcipnisie, którzy tamte lata znają z autopsji.

Rozprawia się zresztą Groński parokrotnie z niektórymi prominentami satyry różnych lat. Czasem czyni to wprost, czasem zręcznie operując cytatem — zawsze jednak dowcipnie, a nieraz bardzo złośliwie. Ale — to dobrze — przecież napisał historię o satyrze!

WIDOK

LEWYM OKIEM

SZWAJCARSKIE ZAPROSZENIE

Parę dni temu byłem na świetnym, nudnym filmie, którego fragmenty wciąż stoją mi przed oczami. To jest właśnie tak: świetny film, chociaż nudny, aż co poniektórzy widzowie opuszczają salę. Mówię o szwajcarskim „Zaproszeniu".

Prawie nic się tu nie dzieje, tyle tylko że zgarbiony wiekiem i pracą urzędniczyna marnej kategorii, stary kawaler nie widzący świata poza swoją matką i biurem — ojej, skąd ja to znam? — dziedziczy nagle po tej matce bogactwo i samotność. Nie umie cieszyć się bogactwem, nie ma nigdzie nikogo poza biurem. Więc zaprasza wszystkich, wraz z szefem i jego zastępcą, na weekend do swej nowej, pięknej posiadłości, na weekend z lokajem, szampanem i atrakcjami.

Taki jest pretekst do pokazania świetnych typów ludzkich. W malutkich gierkach, gestach, półsłówkach ujawniają się urzędnicze charaktery. Co to za porządek, żeby taki gryzipiórek nagle stawał się silniejszy przez swoją forsę? Żeby naruszał hierarchię, wychylał się, żeby mógł zaprosić samego szefa? Jak równy równego?

O naszej głównej wadzie narodowej — o zawiści — napisał Breza całą wielką powieść, której nie czyta się z przyjemnością. Widocznie jednak nie mamy na tę wadę monopolu, skoro i szwajcarski film, jakże odmienny w małych realiach dnia codziennego od naszego świata, co chwilę ożywia jakiś fragmencik naszych doświadczeń. To jest straszna rzecz, ta dogmatyczna wiara w charyzmat na sukcesy życiowe, na władzę, zwierzchnictwo, przewagę jednych, a wieczną podległość, dyspozycyjność, niższość innych. Nie wiem, ile lat siedzenia przy biurku potrzeba, żeby bakcyle tej groźnej choroby rozwinęły się w nieodwracalne skrzywienie. Ale wydaje się prawidłowością, że to przychodzi, że nastaje moment, kiedy już nie można sobie wyobrazić referenta Iksa, jako kierownika działu, a kierownika Ygreka — jako człowieka mądrzejszego lub bardziej światowego niż sam naczelny. A może to latami robiona człowiekowi gombrowiczowska gęba tak już przylega na amen, że zedrzeć ją można tylko z tkanką mięśniową?

— Jest w „Zaproszeniu" urzędnik-wesołek, błaznujący bez przerwy, rozbrajający, natrętny i rozchichotany. Znacie takich? Znacie. Jest mnóstwo ludzi, przykro powiedzieć, ale zarówno panów jak pań — pozostających nieustannie na zgrywie, mówiących bardzo głośno i bardzo „dowcipnie", strzelających (z hukiem) racami dowcipu. Są przy tym zawsze w stylu „kumpla", niefrasobliwego urwisa, takiego co sobie nie da dmuchać w kaszę, z którym natychmiast należałoby iść konie kraść, który wie co pan wie i nie wierzy nie tylko w prawdziwość jakiejkolwiek powagi, jakiejkolwiek myśli, ale wręcz w żaden zwyczajny tryb oznajmujący. W oczach takiego istnieje tylko jedna wielka, kapitalna draka i tylko frajerzy mogą czegokolwiek nie brać za drakę. Wesołkowie bardzo kochają siebie i chcą być nieustannie przedmiotem ogólnej uwagi. Nie znoszą, gdy ktoś zajmie się w ich obecności czymś poza nimi. Natychmiast biorą takiego na kiel i nie zejdą z niego, dopóki nie zauważą oznak niechęci u większości słuchaczy. Każdy sposób jest dobry: szokujące wulgarne słowa (bardzo modne), zagryzanie śledzia tortem i popijanie barszczem z filiżanki sąsiada. Między nami, kumplami, będzie się łamać?

A takiego faceta (albo facetkę) ze skłonnością do telefonu nie znacie? Znacie? Siedem razy dziennie dzwoni do domu, do teściów, do żony w biurze. Opowiada wszystko, czego nie zdążył powiedzieć przez ostatnich pięć lat. Omawia spotkania, wizyty, zakupy, interesy. Pyta o pogodę na Bałutach, bo tu u nas na Dąbrowie leje. I ma dreszcze. I czuję się, wiesz, jakoś tak. I żeby nie kupować „Expressu", bo on już kupił. I że znów się do was dodzwonić nie mogłem, któż tam tak ciągle gada i zajmuje telefon?

Ktoś chyba sklasyfikuje kiedyś w sposób naukowy typy zabiurkowe, tak jak filmowcy szwajcarscy zrobili to w mowie filmowej. A skoro o urzędnikach mowa, to muszę tu wspomnieć o kapitalnej książeczce Roberta Townsenda pt. „Jak zdobyć szklaną górę organizacji, czyli co robić, aby nie tłamsić ludzi i nie hamować rozwoju". W „Dzienniku Łódzkim" recenzent „J. T." schlastał ją do cna i zakończył recenzję słowami:

„Bardzo dobrze, że ta książeczka ukazała się tylko w minimalnym nakładzie, niespełna 2 tysięcy egzemplarzy".

Otóż bardzo dobrze, że to nieprawda, bo nakład wynosi spełna 20 tysięcy, o czym stoi, jak byk, w stopce wydawniczej. Więc jeszcze możecie ją kupić i z satysfakcją przeczytać. A cytaty mógłbym zestawić tak, że nawet redaktorowi „J. T." musiałyby się podobać.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ŚWIATOWE ŻYCIE

Coraz częściej słyszę westchnienia: „Och, zamieszkałeby w małym miasteczku". Albo: „Jakież urocze są te małe miasteczka". A mieszkańcy małych miasteczek myślą o tym, aby zamieszkać w dużych miastach, gdzie — domniemywają — życie jest bardziej atrakcyjne, człowiek ma więcej różnych możliwości i w ogóle... światowe życie.

Prawda jest — jak zwykle — pośrodku. Co byśmy tam nie mówili, to — po pierwsze — stopniowo wyrównuje się poziom życia między dużymi i małymi ośrodkami, choćby poprzez jednakową możliwość uczestniczenia w tym wszystkim, co dzieje się na świecie, a co nam przybliża telewizja. W ten sposób tworzą się jednakowe możliwości kształtowania takich samych wzorów do naśladowania. Ale — po drugie — ich realizacja przebiega inaczej, gdyż jej warunki są inne. Jednak mniejsze ośrodki są bardziej prymitywne, skąpiej wyposażone we wszelkie dobrodziejstwa cywilizacji. Może dlatego dla niektórych są takie urokliwe i takie rodzą sentymentalne marzenia w okresie, kiedy panuje moda „retro". Ale trzeba mieć szczęście, jak Bełchatów, aby skokiem awansować do grupy miast większych, przemysłowych i liczących się na gospodarczej mapie kraju i tym spełnić marzenie jego mieszkańców o „światowym życiu".

Zapewniam jednak, że marzenie o światowym życiu nie jest obce mieszkańcom dużych miast. A do tego upoważniło mnie spotkanie na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi dawno nie widzianego kolegi. Biegł w rozpiętym płaszczu, szalik za nim powiewał, a spod kapelusza wysunęły się kosmyki lekko zwilgotniałych od potu włosów. Zimę nam skonfiskowano w tym roku, więc nie zdziwiło mnie to rozchełstanie kolegi i nie miałem nawet zamiaru zatrzymywać go i pytać o powód obłędu w oczach. Ale on sam gwałtownie zatrzymał się i nie zadając stereotypowego pytania: „Co u ciebie", generalnie zaatakował problem:

— Stary, nie wiesz czasem, gdzie można kupić naboje do autosyfonu?

— Nie, a bo co? — odpowiedziałem niezbyt mądrze.

— Bo nic. Kupiłem sobie autosyfon i teraz gwałtownie szukam naboi. Syfon bez naboi jest do niczego.

— Domyślam się. A nie mogłeś kupić od razu i naboje?

— Nie, bo nie sprzedają.

— Przyznam, że nie wiedziałem o tym. Wydawało mi się, że czymś naturalnym powinno być sprzedawanie autosyfonu razem z nabojami.

— A masz samochód? — zapytałem kolegę zupełnie nieoczekiwanie dla niego i dla siebie.

— Nie — zdziwił się.

— To nim kupisz — poradziłem — dowiedz się, czy przedtem nie będziesz musiał przynieść z sobą do „Motozbytu" karnistra benzyny i naładowanego akumulatora.

— Cześć! — powiedział kolega, popatrzył na mnie przeciągle i poszedł szukać naboi do autosyfonu. A ja, myśląc sobie o tym, jak to ludzie dziwaczeją i zamiast pić wodę z kranu, chcą koniecznie pić wodę z bąbelkami i mieć w domu „światowe życie", o mało nie wpadłem pod samochód z planszą, głoszącą, że zapraszają mnie na „Targi usługowe". Przyznaję uczciwie, że przechodziłem jezdnię ulicy Piotrkowskiej w miejscu, gdzie nie ma dawniej pomalowanych i już wytartych białych pasów, ale proszę o niewyciąganie z tego żadnych konsekwencji. Kierowca samochodu z planszą, zapraszającą na „Targi usługowe", powiedział już co myśli o moim stanie umysłowym oraz o mojej rodzinie. Wprawdzie marzec jest miesiącem usług, ale nie kultury na jezdni, więc obaj byliśmy w porządku.

Wieczorkiem usiadłem sobie przed telewizorem, aby obejrzeć moją ulubioną audycję ŁOT: „W środku Polski" i dowiedziałem się, że dziennikarze łódzkiej telewizji też się dziwią, dlaczego, to niektóre przedsiębiorstwa mają usługiwać ludności w marcu, a nie przez cały rok. Zaproszono autora tego pomysłu do studia i poproszono o wyjaśnienie. Nie wiem, czy złożone przed kamerami ŁOT wyjaśnienia zadowoliły kolegów z TV i telewidzów, bo mnie nie.

Nie można być zadowolonym z tego, że budownictwo winne jest za poprzednie lata 13 placówek, bo razem z 20 planowanymi na ten rok powinno oddać do końca pięciolatki 33 placówki. Czy da radę? Ale z drugiej strony nie rozumiem zupełnie narzekania „usługowców" na brak reklamy. Kto im broni szukania i wykorzystywania takich form, aby informacja o usługach docierała do wszystkich? Czy spełni tę rolę „Marzec" — miesiąc usług"?

Wydaje mi się, że powód leży gdzie indziej. W tym — mianowicie — że usługi nie wytrzymały powszechnego tempa pracy. W „Głosie Pracy" z 5 marca 1975 roku Wojciech Wasilewski napisał:

„...jak wynika z danych, co prawda za trzy kwartały ub. r. tempo świadczeń usługowych nieco zmalało. W efekcie udział zakupu usług przez ludność zamiast się powiększyć — spadł w ciągu ostatnich czterech z 17,4 proc. w 1970 r. do 15,3 proc. w 1974 r.".

Niezależnie od niedostatków bazy i nieregularnego rozmieszczenia placówek usługowych w mieście zahamowania w działalności przedsiębiorstw usługowych biorą się — w moim przynajmniej przekonaniu — ze złej jakości usług. Przeświadczenie, że istnieje popyt na usługi zwalnia w pewnym stopniu od poszukiwań, od wychodzenia z usługami do ludności, proponowania potencjalnym klientom tego, co im potrzeba, proponowania nowych form usług i wyższej ich jakości. Przeświadczenie to zasadza się bowiem na rozumowaniu, że skoro ludzie poszukują usług, to po nie przyjdą. Ale to już nie jest cała prawda.

MARCIN RODAK

NORWID

Edytorskie i poligraficzne zasługi Wydawnictwa Literackiego podnosiliśmy w tym miejscu wielokrotnie. I oto znów nadarza się okazja, aby miłośnikom pięknej książki zaproponować wybór poezji C.K. Norwida. Tom zawiera kilkanaście wierszy oraz dwie nowele: „Garstkę piasku" i „Ad leones" — i jest książką dwujęzyczną. Jest to bowiem francuski przekład Feliksa Konopki wymienionych powyżej utworów. Książka to istne bibliofilskie cacko i tylko introligatornia musiała — jak to u nas — rzecz dokładnie sknocić, żeby nam się w głowie nie przewróciło.

Tom ilustrowany jest szkicami Norwida — zastosowano szaroniebieskie i czarne wkładki, zróżnicowano kolor druku tekstu polskiego i francuskiego... Słowem książka (prawie) piękna. Wstępem opatrzył ją prof. Kazimierz Wyka, zmarły niedawno wybitny historyk literatury, który napisał o Norwidzie: „Oby promienie tej gwiazdy dotarły do kultury innych narodów, oby nareszcie zauważono, że od dawna ona istnieje i nie jest tylko polską". Piękny francusko-polski tom Norwida jest tego marzenia skromną realizacją.

Cyprian Kamil Norwid — „Wybór poezji", Wyd. Literackie, cena 60 zł.

POEZJA MACEDONII

„Wiersze znad Ochrydu" — tak nazywa się ów wybór wierszy poetów macedońskich. Tytuł wskazuje na pierwotne, narodowe źródło historyczne tej poezji. Tutaj bowiem, nad Jeziorem Ochrydzkim, które swoją nazwę zawdzięcza miasteczku, leżącemu na stoku jego północno-wschodniego brzegu — narodziła się świadomość, i co za tym idzie — kultura narodowa Macedończyków.

W Ochrydzie powstała pierwsza szkoła pisarska tzw. scriptorium, założona i prowadzona przez dwóch mnichów — uczniów Cyryla i Metodego, późniejszych świętych: Klimenta i Nauma. To tutaj powstały pierwociny religijnej literatury macedońskiej, której swoistość wyraziła się nawet w odrębnej, różnej od cyrylicy bułgarskiej — najstarszej pisowni słowiańskiej czyli „głagolicy".

Tyle historii piśmiennictwa macedońskiego, o którym erudycyjny wstęp napisał Marian Piechal. Dalej już mamy współczesność — wiersze ponad trzydziestu poetów Macedonii. Wśród tłumaczy spotykamy nazwiska poetów z łódzkiego środowiska — Tadeusza Chróścielewskiego, Doroty Chróścielewskiej i Igora Sikiryckiego. Świadczy to dowodnie, że środowisko łódzkich translatorów nie ogranicza swojej działalności tylko do łódzkiej oficyny wydawniczej, że liczy się także w kraju. „Wiersze znad Ochrydu" opublikowało bowiem Wydawnictwo Literackie.

„Wiersze znad Ochrydu", Wyd. Literackie, cena 30 zł.

WPISANI W GIEWONT

Henryk Worcell, pikolak a potem kelner z Krakowa, zbulwersował przed wojną literacką opinię znakomitą powieścią środowiskową „Zaklęte rewiry". Młody debiutant stał się modny, zaopiekował się nim twórca „Zazdrości i medycyny", Michał Choromański. Rzucił więc Worcell Kraków i przeniósł się do Zakopanego, gdzie zamieszkał na słynnej Harendzie, u p. Marii Kasprowiczowej.

Zaraz potem wybuchła wojna i o Worcellu słuch zaginął. Także i po wojnie nikt nie wiedział, co się z nim stało, wydawać by się mogło, że rzucił literaturę, objął gdzieś na Dolnym Śląsku gospodarstwo rolne. Ale literackie pasje nie wygasły. Po pierwszych nieciekawych książkach Henryk Worcell wydaje pozycje coraz lepsze — „Parafianie" i „Najtrudniejszy język świata"...

Ale wciąż brakowało w tej pisarskiej biografii dawnego kelnera i rolnika, opowieści o pierwszych latach po sukcesie „Zaklętych rewirów". O latach, kiedy młody „naturszczyk" rzucony został zrządzeniem losu w samo centrum artystyczno-intelektualnej elity Zakopanego. Przyjaźni się z Witkacym, Choromanskim, Kasprowiczową, poznaje Gombrowicza...

Powstała taka książka. Czyta się ją z niebywałym zainteresowaniem, bo to już przecież historia literatury opowiadana ustami naocznego świadka. Ale budzi uczucia mieszane. Czasem odnosi się wrażenie, że autor jak gdyby bezwiednie (ale czy bezwiednie?) popełnia niedelikatności i nieprzyzwoitości w stosunku do znajomych i przyjaciół młodości. Ale może to tylko złudzenie?

Henryk Worcell — „Wpisani w Giewont", Wyd. Ossolineum, cena 20 zł.

DWIE PRAWDY

Melchior Wańkowicz powtarzał zawsze, że jego twórczość jest spojrzeniem na sprawy z różnych stron, że pisząc na „tak" i na „nie" — daje czytelnikowi materiał do własnych wniosków, że daje mu syntezę. Również tę zasadę zastosował Wańkowicz jeszcze za życia planując konstrukcję swoich „Dzieł wybranych".

Dlatego w jednym tomie wydano „Hubalczyków" — epos o romantycznej partyzantce i walce na śmierć i życie oraz „Westerplatte" — opowieść o umiejętności oceny sytuacji bojowej i decyzji, która była decyzją życia dla obrońców placówki. „Dwie prawdy" nazywała się ta książka.

Również „dwie prawdy" prezentuje Wańkowicz w tomie „Czerwień i amarant". Amarant — to będą „Szczenięce lata". Wspomnienia z kresowego dworku. Czerwień — to będzie „Opierzona rewolucja" — reportaż ze Związku Radzieckiego napisany w latach trzydziestych. Książka „szlachecka" i książka „komunistyczna".

Za „Szczenięce lata" Wańkowicza chwalono, za obiektywny i przyjazny ton na temat dokonań Kraju Rad — rzucano na niego wyzwiska. Po latach autor złożył z tych dwu tak różnych książek jeden tom, aby — zgodnie z zasadą — powstała jeszcze jedna wersja wańkowiczowskich „dwóch prawd".

Melchior Wańkowicz „Czerwień i amarant", Wyd. Literackie, cena 36 zł.

LISTY PRZYBOSIA

W ostatnich latach ukazało się kilka publikacji zawierających korespondencje pisarzy. Do najokazalszych należy tom „W kręgu literackich przyjaźni" Leopolda Staffa oraz „Listy" Boya. Ale były także niewielkie książeczki z korespondencją Tuwim — Gałczyński lub Tuwim Staff.

Ten piękny dział naszej epistolografii literackiej wzbogacił się ostatnio o tomik listów Juliana Przybosia do rodziny z lat 1922—1931. Oczywiście główny zrąb książki stanowią właśnie listy z tych dziesięciu lat. Ale jest tam jeszcze list ostatni — list do brata Adama z 18 grudnia 1969 roku, w którym Poeta pisze o swojej chorobie i wyraża nadzieję, że Nowy Rok będzie pomyślny.

Nowy rok okazał się tragiczny. Po leczeniu w Konstancinie Przyboś przebywał w Oborach, ponieważ lekarze zabronili mu wracać do stolicy, gdzie miał mieszkanie na trzecim piętrze. Niestety, starania o inne mieszkanie nie odniosły skutku. Kogóż tam obchodził jakiś poeta!

Książkę korespondencji rodzinnej Juliana Przybosia opracował stryjeczny brat Poety, Adam Przyboś. Opracował rzetelnie, wzbogacając teksty bogatą informacją, mnogością przypisów i fotografii z rodzinnych zbiorów. W ten sposób niewielkie wydanie listów Juliana Przybosia stało się prawdziwym wydarzeniem historyczno-literackim.

J.W.

„Listy Juliana Przybosia do rodziny", Wyd. Literackie, cena 15 zł.

MAGAZYN
ODGŁOSY

TEMAT KOBIETA

Przed paroma dniami cały świat obchodził Międzynarodowy Dzień Kobiet. Z tej okazji zespół pracowników biblioteki ŁDK, pod kierunkiem Krystyny Lewickiej, opracował ciekawą ankietę. Otóż przedstawiono czytelnikom szereg aforyzmów wybitnych twórców na temat wiecznotrwały, temat — KOBIETA.

Uważamy, że lektura tego ciekawego zestawienia opinii wybitnych twórców z opinią współczesną będzie dla naszych czytelników zajmującą zabawą.

* * *

Na nic kobiecie młodość bez urody ani uroda bez młodości.

La Rochefoucauld

— Już nieaktualne. Młodość można zachować długo, a urodę „stworzyć"!

Ewa Banyś, lekarz

— „Na nic młodość bez urody — słusznie. Ale uroda bez młodości? — Co to — to nie. Ładna kobieta zawsze wzbudza zainteresowanie bez względu na wiek. Przecież kochamy nie tylko nastolatki, a doświadczenie też ważna rzecz.

Jerzy Michalski, student UŁ

* * *

— Stwierdzenie przestarzałe. Kobieta coraz rzadziej widzi swój zawód w mężczyźnie. Mężczyźni, owszem, widzą czasem swoje szczęście w zawodzie, ale dlatego, by nie być tylko przedmiotem zawodu kobiety.

Karol Chądzyński, pedagog

— Los obojga płci ten sam. Gdy „szczęście" zawiedzie, to tak pani jak i pan prym w zawodzie wiedzie.

Wacław Jerysz, technik przetwórstwa papierniczego

— Myśl piękna, ale zawód w języku polskim znaczy także rozczarowanie i wtedy zgoda na „złotą myśl"

M. Sobocińska, planistka

* * *

Gdy kobieta patrzy często w lustro, dowodzi to niekiedy nie tyle jej próżności — co odwagi.

Mark Twain

— G. B. Shaw znał lepiej mężczyzn niż kobiety

Ewa Banyś, lekarz

— Tak więc jednak plus na rzecz pań. Kłamstwo „mówione" można (jeśli w ogóle można!) usprawiedliwić stanem emocjonalnym. Natomiast kłamstwo „pisane" to już kłamstwo plus premedytacja. (Pisane, a więc przemyślane, kolportowane).

A. Krysiak, księgowa

* * *

Los w wyobraźni kobiety jest zawsze mężczyzną.

Kazimierz Brandys

— Tak jak dla mężczyzny losem jest kobieta. Jedyny pewny i dobry miernik szczęścia ludzkiego w niespokojnym świecie współczesnym.

Grzegorz Chmielewski, budowniczy

* * *

Ideałem byłoby, gdyby wszystkie kobiety były zamężne, a wszyscy mężczyźni kawalerami.

Aleksander Dumas — syn

— Dzisiejsi mężczyźni są bardzo blisko tego ideału, znaleźli sposób: patrz: wczasy, podróże służbowe, konferencje itd nie uświadczysz żonatego!

— ...od pewnego wieku, od pewnego wieku...

I. Nowak

— Nieaktualne. Kto stosuje kosmetyki „Pollena" — lustro stanowi jedynie wystrój wnętrza...

Danuta Kwiecińska instruktor kul.-wychowawczy

* * *

Mężczyźni kłamią lepiej gdy piszą, kobiety — lepiej — gdy mówią.

George Bernard Shaw

Rys. W. Kondek

Obrączki ślubne tak łatwo się zdejmuje i... do kieszonki!

D. Michalak, nauczycielka

* * *

Kobiety lubią siłę, ale jej nie naśladują; mężczyźni zaś delikatność, ale jej nie odwzajemniają.

Jean Paul Sartre

— Tylko ktoś zupełnie obiektywny (trzecia płeć) mógłby stwierdzić kto i co naprawdę lubi.

M. Kozłowski

* * *

Przyjaźń między kobietami nie jest niczym więcej, jak układem o nieagresji.

Henryk de Montherlant

— Święte słowa! Przy tym zerwanie takiego układu rozpętuje srogą wojnę, prowadzoną bez przebierania w środkach — a głównie w słowach.

Andrzej Baran — student prawa

— Przyjaźń kobiet jest czymś więcej od przyjaźni mężczyzn.

Barbara Majzner, technik-elektryk

* * *

Mężczyźni chcą być zawsze pierwszą miłością kobiety, kobiety chcą być zazwyczaj ostatnią miłością mężczyzny.

Oskar Wilde

— Mężczyźni! — i wy wierzycie, że — o ile jesteście już miłością kobiety — to pierwszą i ostatnią?

(anonimowo — kobieta)

— Pierwsza część zdania uważam za mocno „trącącą myszką", a o drugiej części wypowiedzieć może się tylko kobieta.

(mężczyzna)

* * *

Mężczyzna widzi szczęście w swoim zawodzie, kobieta widzi swój zawód w mężczyźnie.

Van der Velde

Rys. W. Kondek

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G

CZYSTO I WESOŁO

Zakłady Skarpetkarskie im. Tych Co Boso Doszli zatrudnią natychmiast trzy sprzątaczki i dziewięciu gagmanów. Sprzątaczki potrzebne są do uprzątania pomieszczeń produkcyjnych a gagmani do rozweselania sprzątaczek w czasie uprzątania.

MATEMATYKA NA EKRANIE

Miłośnicy matematyki odczują wreszcie wyraźną ulgę. Oto Wytwórnia Filmów Trudnych wyprodukuje cykl ciekawych filmów popularyzujących tę piękną a ciągle jeszcze mało kochaną naukę. W pierwszym filmie zobaczymy inż. Stanisława Postępa z żoną, który z pamięci będzie liczyć głośno od jednego do tysiąca. Następne filmy obejmą jeszcze dłuższe i i trudniejsze liczenia.

NOWY NUMER MGR BOLSKIEGO

Mgr Jan Bolski obserwując rzeczywistość ogłosił ostatnio, iż film współczesny produkowany nawet niesłychanie szybko, już w momencie premiery jest w pewnym sensie filmem historycznym. Mgr Jan Bolski upiera się, że na to nie ma rady.

CZAS TO WSPANIAŁY LEKARZ

W stolicy Francji, w Paryżu, nakręcono ostatnio ciekawy obraz filmowy, którego cała akcja toczy się wyłącznie w języku francuskim. Widzowie słowiańscy, którzy nie znają języka francuskiego, po obejrzeniu powyższego filmu czuli zrozumiałe rozgoryczenie. Rozgoryczenie to, po wyjściu z kina z czasem malało.

GŁOŚNO O PISKU

Angielscy naukowcy filmowi nagrali ostatnio to co w trawie piszczy. Piski tego, co piszczy słychać zupełnie wyraźnie. Czyni się obecnie przygotowania, by już w przyszłym roku oprócz dźwięku otrzymać również i obraz. Sprawa jest jednak skomplikowana, gdyż to co piszczy nie lubi się fotografować w momencie piszczenia.

ŚMIECHY W LOS ANGELOS

Kierownik kina w Los Angelos ma bardzo miły zwyczaj. Każdy sto trzeci widz dostaje od niego miły upominek w postaci estetycznego drapacza chmur z ogródkiem. W zw. z powyższym wynikają czasem przezabawne sytuacje. Ostatnio np. sto drugi widz dla kawału udawał sto trzeciego ale kierownik kina nie dał się na ten kawał nabrać. Było z tego dużo śmiechu ale kapitalizm w Los Angelos ciągle jeszcze niestety, trzyma się mocno.

FRANK EDWARDS

DZIWNY, NIEZNANY ŚWIAT

W Caracas (Wenezuela), dnia 18 grudnia 1957 roku, około szóstej po południu, dr Luis Corrales zrobił zdjęcie radzieckiego sputnika nr 2. Przy użytym przez doktora Corralesa czasie naświetlania, sputnik był widoczny na negatywie w postaci krótkiej smużki. Jakież było jednak zdziwienie doktora, gdy obok sputnika dostrzegł równoległą smużkę jakiegoś nieznanego kosmicznego obiektu! Co więcej, ten nieznany obiekt w pewnym momencie zmienił kurs, po czym ponownie powrócił na poprzednią trasę.

Naukowcy, którzy szczegółowo badali zdjęcie zrobione przez doktora Corralesa, orzekli, że obiekt towarzyszący sputnikowi nie mógł być gwiazdą ani meteorem; nie był też obiektem wytworzonym ręką człowieka. Zmiana kursu w czasie lotu wskazuje na to, że był to obiekt nieznanego typu, którym kierowały istoty inteligentne.

W lipcu 1960 roku „Newsweek" opublikował artykuł na temat sztucznych satelitów. W artykule tym stwierdzono, że wielu naukowców podejrzewa istnienie przynajmniej jednego satelity lub też pojazdu kosmicznego, który nie jest dziełem człowieka. Cytujemy za magazynem „Newsweek": „Podejrzewa się, że satelita ten jest gościem wysłanym przez istoty zamieszkujące okolice jakiejś gwiazdy w naszej Drodze Mlecznej, przez, być może, coś w rodzaju Zjednoczonej Organizacji Gwiazd, zainteresowanej ze względów archeologicznych i antropologicznych tym, co się dzieje w naszych okolicach galaktyki".

STACJA OBSŁUGI SATELITÓW?

Oficjalnie znany jako Anna a przezwany „Firefly" (robaczek świętojański), satelita amerykański został umieszczony na orbicie okołoziemskiej w październiku 1962 roku. Jego cztery pulsujące światełka były obserwowane i fotografowane przez naukowców z Air Force do czasu aż przestały działać. Logicznie rozumując, że satelita zakończył żywot, naukowcy spakowali przyrządy i przestali się nim interesować. Jednakże w sierpniu 1963 roku, po siedmiu miesiącach bezczynności, światła „Firefly" znowu zaczęły pulsować. Zaskoczone ekipy uczonych udały się na wyznaczone miejsca, aby kontynuować obserwacje.

Podobnie sprawy miały się z satelitą komunikacyjnym „Telstar 2" wystrzelonym 7 maja 1963 roku, który zaprzestał nadawania 16 lipca i milczał aż do połowy sierpnia tegoż roku. Dla porządku warto odnotować, że „Firefly" i „Telstar 2" zaczęły ponownie funkcjonować kolejno w odstępie trzech dni.

Jak to było możliwe?

Richard Kershner, twórca „Firefly" stwierdził, że nie może wyjaśnić dlaczego satelita zaczął znowu działać. Nie mógł też tego wyjaśnić Doren Mitchell, jeden z twórców Telstara. Stwierdził on tylko, że nie da się wykluczyć kolizji z meteorytem jako przyczyny zaprzestania pracy przez satelitę.

Jednakże takiej kolizji nie da się także „wykluczyć", gdyż gdyby to meteoryt uszkodził urządzenia tak, że przestały funkcjonować, to co lub kto mógł je naprawić w kosmosie?

ZNAK NA KSIĘŻYCU

Im więcej ktoś zajmuje się Księżycem, tym bardziej zdaje sobie sprawę z jego tajemniczości. Jest on jak gdyby błyszczącym okiem cyklopa, który krąży wokół Ziemi i podgląda z niebios to, co się na niej dzieje. Ludzie obserwujący Księżyc często dostrzegali na jego powierzchni dziwne znaki, jak światła, linie, kopuły, wzory geometryczne, które wyglądały na wynik działalności istot inteligentnych. Do tysięcy takich obserwacji dorzućmy jedną, świeżej daty.

Dwudziestego szóstego listopada 1956 roku, astronom Robert E. Curtiss badał powierzchnię srebrnego globu przez sześnastocalowy teleskop obserwatorium w Alamogordo (USA). Z teleskopem sprzężona była automatyczna kamera filmowa, która utrwalała na kliszy powierzchnię naszego satelity z szybkością od 24 do 48 klatek na sekundę. Po wywołaniu filmu okazało się, że astronom sfilmował biały krzyż w miejscu, gdzie go przedtem nie było — na północny zachód od równiny Fra Mauro, w pobliżu małego ciemnego krateru Parry. Wszystkie cztery ramiona krzyża miały jednakową długość oceniana na kilka mil. Przecinały się one pod kątem prostym. Do chwili obecnej nie udało się wyjaśnić, co to był za krzyż.

TAJEMNICZE KSIĘŻYCE MARSA

Wśród wielu czynników przyciągających uwagę badaczy Marsa są dwa małe księżyce obiegające czerwoną planetę w przeciwnych kierunkach z bardzo dużą szybkością. Do roku 1877 nikt o nich nie słyszał. Tacy astronomowie jak Herschel i Lassel, używający teleskopów doskonałych na tyle, że mogli nimi odkrywać księżyce Urana nie spostrzegli(!) księżyców wokół Marsa. Dopiero w roku 1877, w ciągu tygodnia czasu Aspah Hall odkrył oba księżyce.

Zarówno ich przeciwne kierunki obrotu jak i to, że dostrzeżono je dopiero w 1877 roku powodują, że wielu naukowców podejrzewa, że są to obiekty sztuczne. Do nich należy między innymi słynny radziecki astronom I. S. Szkłowski, który na podstawie pewnej nieregularności w szybkości obiegu Fobosa twierdzi, że przynajmniej ten obiekt jest sztucznym satelitą wyniesionym na orbitę w roku 1877 lub na krótko przedtem.

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE

Dwudziestego czwartego lipca 1924 roku dwaj brytyjscy lotnicy, W.T. Day i D.R. Stewart, wyleciel małym jednosilnikowym samolotem rozpoznawczym nad jedną z pustyń na Bliskim Wschodzie. Przypuszczalny czas lotu miał wynieść około czterech godzin.

Od czasu startu samolotu, lotników nikt więcej nie widział.

Następnego dnia odnaleziono ich samolot lecz fakt ten pogłębił jeszcze tajemnicę ich zniknięcia. Samolot miał wystarczającą do powrotu ilość paliwa, silnik był sprawny i łatwo dawał się zapalić, nie było śladów wskazujących na to, że samolot został ostrzelany. Słowem, nie można było znaleźć żadnej wskazówki, która wyjaśniłaby dlaczego samolot wylądował.

Obok maszyny widać było odciśnięte w miękkim piasku ślady butów obu lotników. Wskazywały one, że obaj mężczyźni odeszli razem prawie czterdzieści jardów od samolotu, po czym przystanęli. W miejscu, gdzie przystanęli, kończyły się ich ślady. Oni sami w niewytłumaczalny sposób po prostu zniknęli w tym właśnie miejscu.

Prawdopodobnie nigdy nie uda się poznać ich losu. Pomimo dokładnych poszukiwań w pustyni na wiele mil od miejsca lądowania, nie natrafiono na najmniejszy ślad. Tam, gdzie kończyły się ślady stóp lotników, kończyły się również ich życiorysy.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

MAGAZYN

ODGŁOSY

JACEK BROMSKI - STORY

KOMIKSY?

Najpierw dwa cytaty. Pierwszy ze *„Słownika terminów literackich"* brzmi: „Komiksy. Nazwa przyjęta z angielskiego na opowiadania, nowele, powieści przedstawione w obrazkach uzupełnionych krótkimi wyjaśnieniami". Cytat drugi ze *„Słownika wyrazów obcych"*: „Seryjne przygodowe albo humorystyczne opowiadanka obrazkowe zaopatrzone w skąpy tekst" — i zaraz autor dodaje — „por. *Biblia pauperum"*. Spoglądamy więc pod to hasło i czytamy: *„Biblia ubogich tj. analfabetów"*.

Czy komiks to rzeczywiście biblia pauperum? Czy ten gatunek piśmiennictwa ożenionego z plastyką istotnie nie ma sensu w dobie telewizji, kina, masowych wydań książek?

Myślę, że ma sens. Oczywiście komiks nigdy nie zaprezentuje treści pogłębionych, bo to przecież nie jest literatura psychologiczna, lecz po prostu czytanka. Ale któż odważy się powiedzieć, że czytanki nie mają sensu? Przecież z czytanek się zazwyczaj wyrasta i sięga po prawdziwą literaturę.

I w tym widzę sens komiksu. Bronię tego gatunku jako p r z e d s i o n k a do prawdziwej literatury. Pretensje, że sam komiks literaturą nie jest, uważam za śmieszne. Bo to mniej więcej tak, jak pretensja, że abstrakcja nie jest figuralna a „Ulissesa" trudno się czyta.

Nie mogę natomiast zrozumieć na jakiej zasadzie łódzki „Express Ilustrowany" drukuje komiks pt. „Potop". Tego rodzaju zboczenia komiksu nie potrafi obronić nawet najbardziej zagorzały zwolennik rysowanej literatury.

Oto czytam (?) odcinek pięćdziesiąty. Składa się on z... trzech obrazków. Narysowany tam Olbrychski — podobny z postury, nie wiedzieć czemu, do Perepeczki — wypowiada dwa razy słowo „rakarz" do Kuklinowskiego. Na trzecim rysunku Kuklinowski mu odpowiada: „ot tak... boczków przypiecze".

I koniec. „Kolejny odcinek „Potopu" zamieścimy w najbliższy czwartek" — informuje „Express Ilustrowany". Już to widzimy, jak 120 tysięcy czytelników gazety będzie z wypiekami na twarzach czekać na dalszy ciąg przypiekania boczków Olbrychskiemu.

Uważam, że jest to zwyrodnienie gatunku i złamanie wszelkich jego konwencji. Zauważmy, że expressowy „Potop" drukowany jest w nakładzie kilkanaście razy mniejszym niż wyniosły wszystkie dotychczasowe wydania „Potopu". Ba, drukowany jest p o f i l m i e, który obejrzało już parę milionów. Więc po co?

Reasumując, uważam, że komiks może i często musi być znacznym zubożeniem pierwowzoru literackiego. Lecz z całą pewnością nie powinien być jego parodią. A już na pewno nie powinien być kpiną z literatury.

Karykatury Sławomira Arabskiego

Płk Marian Gwizdka

Red. Henryk Rudnicki

SMACZNEGO!

KLASA I
NAJLEPSZA JEST PIECZONA – NADZIEWANA JABŁKAMI
Łódzkie Zakłady Drobiarskie
POLDROB

POWIĘKSZENIA

ABSOLUTNY REKORD ŚWIATA

„Wiadomości Kutnowskie" donoszą:
„W Kutnie noworodki już po dwóch dniach wychodzą do domu".
Nie darmo się mówi, że kto nie był w Kutnie nie zna życia.

OGŁOSZENIA DROBNE

„ŻYCIE WARSZAWY":
„Każdą ilość kaczego nawozu słomiastego odstąpię nieodpłatnie..."
„Krawca zatrudnię uczniacę..."
„Tokarza rewolwerowego przyjmę..."
„Stolarza samodzielnego ewentualnie emeryta zatrudnię..."

„GŁOS ROBOTNICZY":
„Kobietę i mężczyznę w hodowli zatrudnię..."
Czego to ludzie nie wymyślą!

Feliks Rajczak

AFORYZMY

Temu artyście wszystko wolno. Nawet nie dostrzegać prawdy o życiu narodu.

Jest pół-bogiem — bo jest pół-człowiekiem.

Jak cię widzą, tak cię d r u k u j ą.

Czym jest moja śmierć wobec radości tych, co przeżywają ją na szczytach?

Był gburem: b i ł pieniądze.

Praca, jak wiemy, uszlachetnia, również szlachtę.

Wytoczyć trzeba by proces procesowi nauczania pedagoga X.

Musimy kontrolować swoje życie pozagrobowe.

Nie odbiegł daleko: nie chciał być księdzem, jest kurkiem na kościele.

Cóż można u s t a l i ć z ludźmi, których się nakręca?

Od hasła „Bliżej do człowieka" przeszedł do dewizy „Bliżej koryta".

wpto

• WSZYSTKO DLA KOBIET

6–16 MARCA BR. WIELKI WIOSENNY KIERMASZ W HALI SPORTOWEJ

zaprasza ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TEKSTYLNO-ODZIEŻOWE

oraz WPHAP i S, FOTO-OPTYKA CEPELiA, WPH-OBUWIE, ŁPHS, ARGED, PSS i ZURiT

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96. kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652 44, 217 98 oraz 293 00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 482, U-10. Nr indeksu 37006/36762